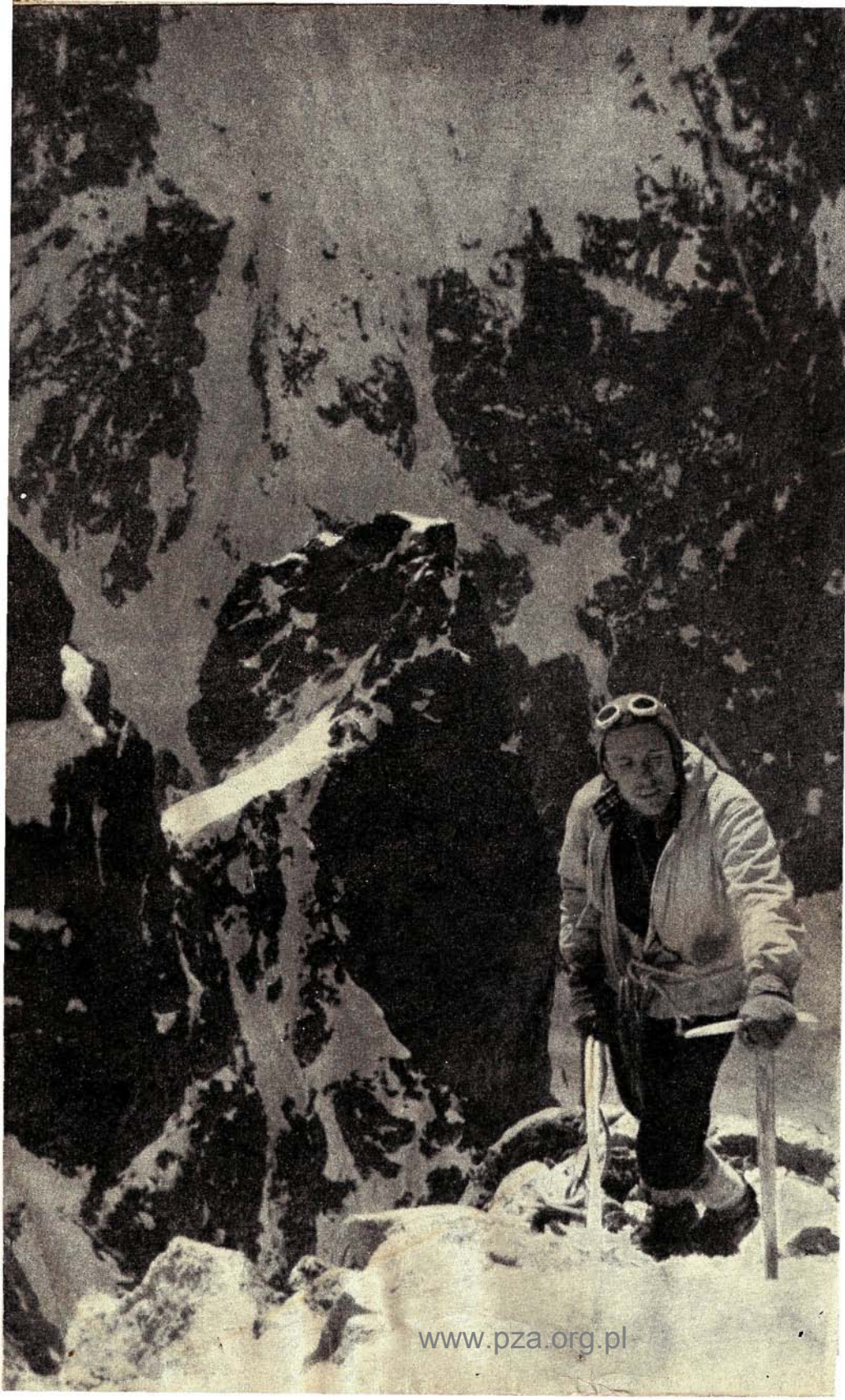


TATERNIK



TERRAY O SWOIM WEJŚCIU NA FITZ ROY *
BYŁEM NA CORNO GRANDE * LESZEK
NAMYSŁOWSKI O FIZJOLOGICZNYCH
PODSTAWACH ŻYWIENIA * DZIWY NAD
LABĄ * W JASKINIACH BUŁGARII * ZI-
MOWA TRAGEDIA NA MONT BLANC WCIAŻ
AKTUALNA NA ZACHODZIE *

2 KWIECIEŃ
M A J
CZERWIEC
1 9 5 7



W PN-ZACHODNIEJ ŚCIANIE NIZNICH RYSÓW
Adam Skoczylas

TATERNIK

CZASOPISMO KLUBU
WYSOKOGÓRSKIEGO

2 1957 · ROCZNIK · 33
KWIECIEŃ · MAJ · CZERWIEC

Komitet redakcyjny: Antoni Gąsiorowski, Jerzy Hajdukiewicz, Maciej Kuczyński, Ryszard W. Schramm, Andrzej Wilczkowski.

Redaguje zespół: Antoni Wala – p.o. red. nac., Przemysław Burchar, Ryszard Gradziński, Maria Lechowska, Zbigniew Łagocki, Maciej Mischke, Adam Skoczyła, Jerzy Wala.

Tymczasowy adres Redakcji: Antoni Wala, Kraków, ul. Osiedle 15 Grudnia 11 m. 13.

Tymczasowy adres Administracji: Kraków, pl. Wiosny Ludów 8.

Realizacja: Wydawnictwo „Sport i Turystyka” Warszawa, ul. Rutkowskiego 7/9.

Oktładkę i układ graficzny zeszytu projektował: Zbigniew Łagocki.

Rysunki: Andrzej Pietsch i Jerzy Wala.

Nakład 2000 × 270 egz. Papier rot. 70 × 100, kl. III, 80 g. Oddano do składania 12. X 1957 r., podpisano do druku 18. XI. 1957 r., druk ukończono w grudniu 1957 r. Krakowskie Zakłady Graficzne Nr. 3, Kraków, B. Joselewicza 24. Zam. 991, B-13

Cena pojedynczego numeru – 10 zł. Kolportaż i prenumeratę prowadzi PUPK „Ruch” w Krakowie. Cena w prenumeracie: półroczna – 20 zł. roczna – 40 zł.

Zamówienia na prenumeratę na rok 1958 przyjmują wszystkie placówki pocztowe w terminach: półroczną – do dnia 10. XII. oraz 10. VI. na okresy następne; roczną – do 10. XII. na okres następny. Numery „Taternika” za rok 1956 i 1957 należy zamawiać wprost w Administracji „Taternika” – ilość ograniczona. Członkowie Klubu Wysokogórskiego otrzymują numery „Taternika” w ramach składek członkowskich.

Na okładce: W SKALNEJ ŚCIANIE
Z. Łagocki

Od Redakcji

Podobnie jak poprzedni, również i ten numer otrzymali Czytelnicy jeszcze z poważnym opóźnieniem. Potrzebny był jednak czas, by Redakcja w swym nowym składzie, mogła rozwinąć swą działalność i pokonawszy liczne przeszkody, przystąpić do wydawania „Taternika” w nowej postaci, odpowiadającej aktualnym potrzebom.

Chcieliśmy, by „Taternik” nie tracąc nic ze swej fachowości, był zarazem pismem zrozumiałym i dostępnym nie tylko taternikom, ale w sposób rzeczowy i zarazem atrakcyjny informował tych wszystkich, których interesują sprawy gór i działalność alpinistyczna w kraju i na całym świecie. Chodzi nam również o to, by tym wszystkim, którzy z alpinizmem zetknęli się mimochodem – przelotnie w Tatrach czy w artykułach prasowych – ukazał go w pełniejszym świetle, uczynić bardziej zrozumiałymi jego zadania i cele.

Jest również wiele spraw, od dawna zaniedbanych, domagających się omówienia, przedyskutowania czy nawet przepracowania teoretycznego. Potrzeba nowej, na rzetelnych podstawach opartej oceny przeszłości naszego taternictwa i alpinizmu; trzeba wiele uwagi poświęcić sprawom szkoleniowym i technicznym, przyswojeniu zdobyczy alpinizmu światowego i zapoznaniu naszego społeczeństwa z jego historią i twórcami, pogłębieniu znajomości wielu regionów wysokogórskich tak mało u nas znanych.

Poważnym zadaniem słojącym przed „Taternikiem” jest przyczynienie się do odrodzenia życia klubowego, w ostatnich latach bardzo spłyconego i zaniedbanego oraz do właściwego wychowania młodego pokolenia taternickiego.

Chcemy, by „Taternik” tętnił życiem, by pociągał młodością, entuzjazmem i radością, jaką znajdujemy w uprawianiu alpinizmu.

To pokrótce nasz program, ale nie o niego tu tylko chodzi. Oddając do rąk Czytelników numer 1 świadomie wstrzymaliśmy się od zamieszczenia tych jak i dalszych uwag, by głos nasz nie zaważył na ocenie tego numeru, który w intencji Redakcji miał już sam niejako ukazywać nasze zamierzenia. Czy spełnił to zadanie i jak? – należy to już do osądu Czytelników. My zdawaliśmy sobie jednak równocześnie sprawę, jak znaczne są w nim braki i jak wiele trzeba jeszcze czasu i pracy, by „Taternik” stanął na odpowiednim poziomie, tak pod względem treści, jej aktualności, jak i atrakcyjności szaty graficznej. Wiele zależy tu od samej Redakcji, ale również bardzo wiele od współpracowników i zainteresowania całego środowiska taternickiego. Od jakości nadsyłanych artykułów, od stałego i regularnego dostarczania przez ośrodki wszelkich informacji i notatek, będzie zależeć regularność ukazywania się pisma i jego poziom.

Pozyśkanie dobrych autorów, zdobycie statych korespondentów krajowych i zagranicznych, w chwili obecnej jest najbardziej pilnym i najważniejszym zadaniem stojącym przed Redakcją. Trzeba jednak, by i wszyscy taternicy i nie tylko taternicy, w miarę swych sił, możliwości, czy zainteresowań współpracowali z nami; chcemy, by pismo rozwijało się wspólnym wysiłkiem Czytelników i Redakcji, dopiero wówczas będzie mogło dobrze spełniać swą rolę i odpowiadać aktualnym potrzebom. Z radością również przyjmujemy współpracę tych wszystkich, którzy choć sami nie są alpinistami, z racji swych zainteresowań i posiadanej wiedzy, mają coś do powiedzenia o górach wysokich.

Oczekujemy na Wasze listy i pomoc, Czytelnicy, i mamy nadzieję, że następne numery pisma będziecie mogli otrzymywać już bez większych opóźnień. W każdym bądź razie Redakcja uczyni wszystko, by w nowym nadchodzącym roku numery „Taternika” ukazywały się już regularnie.

Kto może być członkiem Klubu Wysokogórskiego

Dla informacji podajemy wyciąg z Statutu Klubu Wysokogórskiego z rozdz. III § 4, 5, 6, 7 oraz warunki przyjęcia na członka, uchwalone przez Walny Zjazd Delegatów z dnia 8. 9. 1956 r.:

Rozdział III

§ 4. Członkowie Klubu dzielą się na: a) honorowych, b) zwyczajnych, c) uczestników.

§ 5. Członków honorowych powołuje Walny Zjazd Delegatów spośród zasłużonych działaczy wysokogórskich w kraju i zagranicą.

§ 6. Członkiem zwyczajnym Klubu może zostać każdy taternik, alpinista lub taternik jaskiniowy, który: a) ukończył 21 rok życia, b) odpowiada wymogom ustalonym przez Walny Zjazd Delegatów (podane niżej — Red.), c) zostanie przyjęty uchwałą Zarządu Głównego Klubu.

§ 7. Członkiem uczestnikiem może zostać każdy początkujący taternik lub taternik jaskiniowy, który: a) ukończył 18 rok życia, b) odpowiada wymogom ustalonym przez Walny Zjazd Delegatów, c) zostanie przyjęty w poczet członków uczestników uchwałą Zarządu Koła.

Aby móc zostać członkiem zwyczajnym należy:

- 1) uprawiać taternictwo w ciągu co najmniej 3 sezonów letnich,
- 2) przejść 6 dróg co najmniej trudnych 3 godz. i 10 dróg dość trudnych bez ograniczenia długości i bez prawa zamiary,
- 3) posiadać znajomość taternictwa zimowego i odbyć 6 godz. wspinaczki zimowej od łatwej do co najmniej dość trudnej.

Na członka uczestnika należy:

- 1) ukończyć z wynikiem dodatnim kurs dla początkujących lub posiadać równorzędne warunki osiągnięte indywidualnie,
- 2) posiadać ogólną znajomość teoretyczną zagadnień taternictwa.

Zgłoszenie na członka (zwyczajnego lub uczestnika) powinno być podpisane przez 2 członków zwyczajnych Klubu.

2.

Obozowanie w Tatrzańskim Parku Narodowym

Dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego podała do wiadomości zainteresowanych zasady obozowania na terenie Parku, obowiązujące od 1957 roku.

Dla celów turystyki masowej zostały wyznaczone na terenie TPN obozowiska: na Polanie „Włosienica” w okolicy Morskiego Oka; w Dolinie Suchoj Wody pomiędzy Suchą wodą, a drogą na Cyrle Wawrzczkową; na Hali Gąsienicowej poniżej drogi z Królowej Równi (zwaną Karczmiem); na Hali Kondratowej, za baczówką; na „Kirach” za mostem nad rzeką; na Hali Ornak na pd. od schroniska; w Dolinie Chochołowskiej na „Siwej Polanie”, powyżej gajówki Zarządu Lasów; na Lysej Polanie naprzeciw placówki WOP; w Kamięniolomie pod „Capkami”, powyżej Ronda, koło stadionu sportowego GKKF.

Poza obozowiskami na Hali Gąsienicowej, Kondratowej i Hali Ornak wszystkie inne dostępne są także dla turystyki motorowej. W miarę możliwości wszystkie obozowiska zaopatrzone będą w chruszt opałowy. Obozowanie w wyżej wymienionych miejscach nie wymaga osobnego zezwolenia. Dla celów specjalnych, jak np.: dla taterników zrzeszonych w Klubie Wysokogórskim i obozów taternickich, mogą być wyznaczone obozowiska oddzielne w miejscach również ściśle wyznaczonych, w których jednak obozowanie wymaga imiennego zezwolenia TPN.

Na obozujących poza miejscami w tym celu wyznaczonymi oraz na obozujących w obozach specjalnych bez imiennego zezwolenia będą nakładane przez organa kontrolne TPN mandaty karne oraz niezależnie od kar obozujący będą zmuszeni do opuszczenia terenu bezprawnie zajmowanego.

Szkoła taternictwa w Zakopanem

Na naradzie Szkoleniowej w Krakowie, w dniu 10 marca 1957 r., powzięto uchwałę o utworzeniu od początku tegorocznego sezonu letniego Szkoły Taternictwa w Zakopanem. Jej zadaniem byłoby prowadzenie letniego i zimowego

szkolenia początkujących. Kursy teoretyczne i skalkowe będą nadal prowadzone przez poszczególne Koła K. W.

Nowy adres ZG KW

Podajemy nowy adres Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego: Warszawa, Al. Ujazdowskie nr 22.

Nowa Komisja Taternictwa Jaskiniowego

W związku z likwidacją Sekcji Alpinizmu PTTK i reaktywowaniem Klubu Wysokogórskiego odbył się w Krakowie w dniu 16 marca zjazd delegatów sekcji taternictwa jaskiniowego, na którym wybrano Komisję Taternictwa Jaskiniowego Zarządu Głównego KW. Przewodniczącym Komisji został Rafał Unrug (Kraków), zastępcami przewodniczącego Ryszard Karpiński (Warszawa) i Konstanty Stecki (Zakopane), sekretarzem Ryszard Grdziński (Kraków), a członkami Komisji Przemysław Burchard (Kraków) i Jerzy Tomaszewski (Toruń).

Jeśli interesuje cię działalność „Klubu” w ostatnich kilku latach oraz chcesz się zapoznać ze zdobyczami alpinizmu światowego lat uprzednich

to przeczytasz o tym
w zeszytach 1-2 i 3-4

TATERNIKA

za rok 1956

i w zeszytach

wrzesień 1954

luty 1955

GÓR WYSOKICH

Wymienione zeszyty są jeszcze do nabycia. Zgłoszenia należy kierować na adres:

Administracji Taternika

Zamówione zeszyty wysyłamy za zalicz. pocztowym

TATERNIK

2 C Z A S O P I S M O
KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
1957 • R O C Z N I K 33
KWIECIEŃ • MAJ • CZERWIEC

	Str.
KRONIKA	1
WŁAŚNIE TERAZ TRZEBA O TYM POMYSLEĆ Antoni Wala	4
LIONEL TERRAY O SWOIM WEJSCIU NA FITZ ROY tłum. ks. Józef Rozwadowski oprac. Adam Skoczyła	6
NA CORNO GRANDE Jarosław Rudniański	15
ŻYWIENIE W ALPINIZMIE (I) Leszek Namysłowski	21
DZIWIY NAD ŁABĄ Andrzej Wilczkowski	27
O BUCEGI I ALPINIZMIE RUMUŃSKIM Arno Puskás	30
TATERNICTWO I ALPINIZM	33
TATERNICTWO JASKINIOWE	36
RECENZJE	39
KRONIKA ŻAŁOBNA	42
WYPADKI I RATOWNICTWO GÓRSKIE	44
KONSPEKT	47

WYDAWNICTWO „SPORT I TURYSTYKA“

Właśnie teraz trzeba o tym pomyśleć

ANTONI WALA

Gdy myśli się o pięćdziesięcioleciu „Taternika“, trudno nie uświadomić sobie i tego, że te pięćdziesiąt lat to również czas, w którym kształtowało się i rozwijało polskie taternictwo i alpinizm, a zarazem okres niezmiernie ważny w życiu naszego narodu, rozpoczynający się odrodzeniem naszej państwowości. Później szły lata spokoju i trudu, okupacyjnej tragedii i wielkich przemian społecznych. To, czym i jak żyło nasze społeczeństwo, nie mogło pozostawać bez wpływu na losy taternictwa, chociaż było ono ruchem skupiającym tylko nieznaczne jednostki. W jego ramach działaliśmy wzbogacając go i o te wartości, które daje alpinizm, zarazem korzystaliśmy tak dawniej, jak i szczególnie dziś, z jego pomocy.

I dlatego trzeba nam teraz, by iść dalej, zdać sobie sprawę, czym dziś jesteśmy? Co dajemy i do czego dążymy? Potrzeba więc dyskusji ideologicznej.

Taternictwo daje jednostce coś, co ją urzeka, pochłania, nie odpycha jej od niego nawet zetknięcie się ze śmiercią. Nie wyrzeka się go i społeczeństwo. To jednak nie może nam pochlebiać, nawet teraz, gdy obserwujemy stały wzrost zainteresowania alpinizmem wśród młodzieży, gdy stało się ono w pewnym sensie „masowym“, gdy sprawy alpinizmu są dziś bardziej znane społeczeństwu, aniżeli były przed kilkoma laty. Właśnie dlatego musimy znaleźć odpowiedź na postawione pytania. Nie wystarczą tu stare, już wytarte maksymy. Czy poglądy J. A. Szczepańskiego (Wierchy 1953, 1955) dostatecznie nas zadawalają i wszystko wyjaśniają?

Dziś musimy szukać odpowiedzi na te pytania o wiele bardziej pogłębionej, obiektywnej, uwzględniającej psychikę dzisiejszego, zwłaszcza młodego człowieka jak i aktualne potrzeby. Trzeba to zrobić i ze względu na społeczeństwo, które ma prawo tego od nas się domagać.

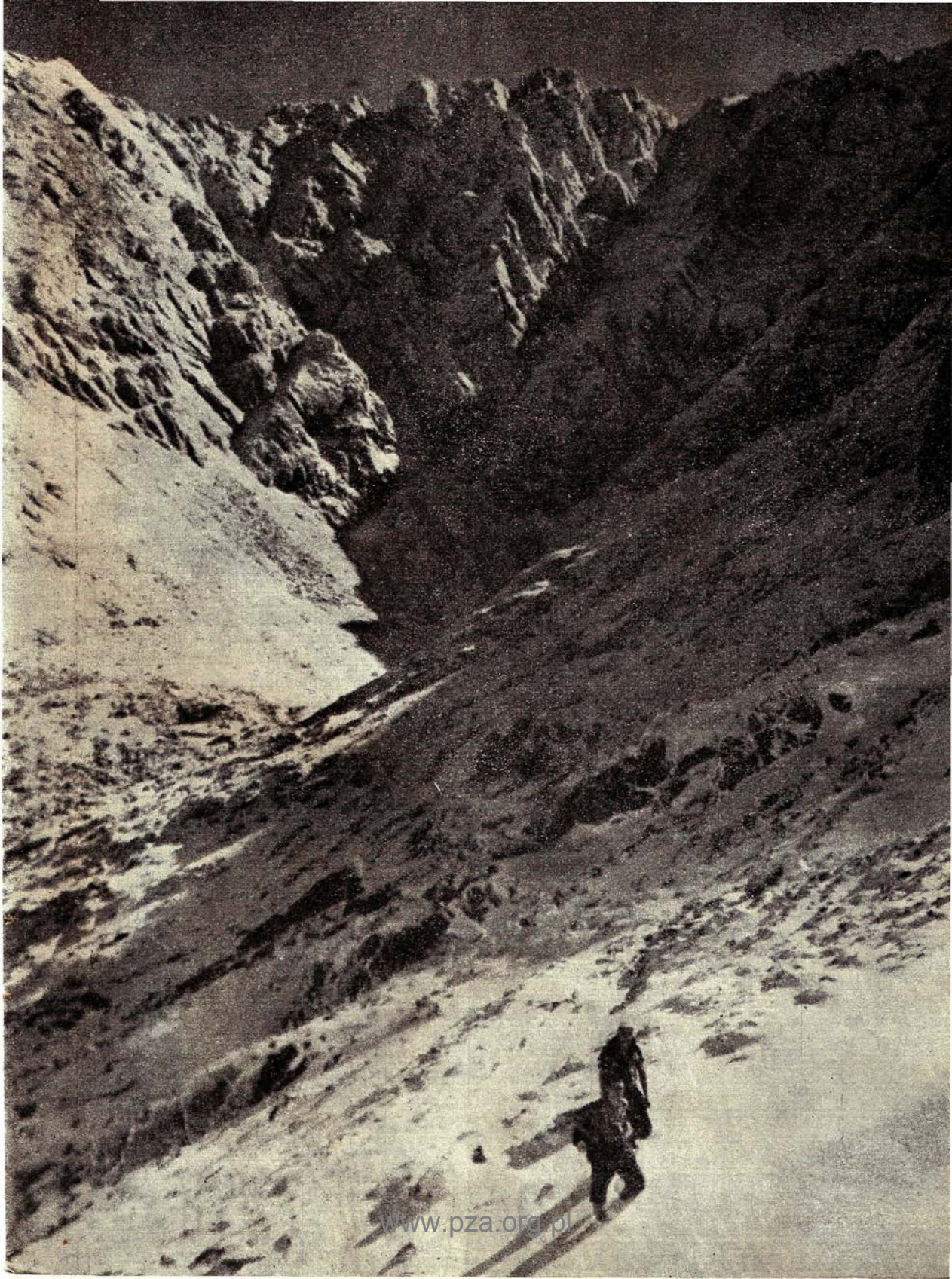
Czy taternictwo daje tylko przyjemność? — i tak i nie. Czy chodzi tu tylko o wyzycie? Czy jest drogą do wielkości? Czy ma wychowywać? Czy jest sportem czy nie? Najbardziej sporne i do dziś pytanie, dotykające także materialnych podstaw ruchu. Czy nie znajdujemy i w taternictwie jakiegoś odbicia nurtujących naszą społeczność problemów i idei?

Trzeba się nad tym zastanawiać, warto wznović zamarłą od lat dyskusję. A może ona tylko przycichła, choć trwa tu i tam, może zgłuszyły ją codzienne troski, chociaż nie znikły wątpliwości. Czy wszystko jest już jasne? Warto wznović i dlatego, by łatwiej mogli nas zrozumieć ci, którzy do nas przychodzą i ci, którzy stoją obok nas.

Taternictwo, „Taternik“, nasze pasje górskie i nasz wkładany w to zasób pracy, to z pewnością tylko cząstka naszego życia, naszych zainteresowań — ale to dobrze, tak być powinno. Taternictwo nę może być wszystkim w życiu, wtedy razi jakąś dysharmonią, błędem w ocenie wartości, wynaturzeniem; trzeba jednak byśmy i tę cząstkę doceniali właściwie, byśmy umieli wziąć z taternictwa to, co nam dać powinno i zachowali troskę o nie, bo jednak jest częścią naszego życia. Wspólnie podjęty trud w pracy organizacyjnej potęgując nasze możliwości, winien zarazem chronić od przeciążenia jednostek, wykoszlawienia ich życia bądź od zniszczenia wszystkiego. Taternictwo to również zagadnienie moralne.

To tylko krótkie refleksje, które nasuwały mi się w związku z pięćdziesięcioleciem „Taternika“, ale czy czasem nie warto i od tej strony spojrzeć na sprawy Klubu i taternictwa?

A co Wy o tym myślicie?



LIONEL TERRAY

o
swoim wejściu
na

Fitz Roy

Tłum. ks. JÓZEF ROZWADOWSKI
Oprac. ADAM SKOCZYŁAS

M mało znany był ludziom przed kilkudziesięciu laty Fitz Roy¹⁾ i dlatego wokół szczytu snuł się cały szereg legend. Wiejące z nad Pacyfiku wiatry o rzadko spotykanej w innych częściach świata sile, otaczały górę kłębem wirujących pod uderzeniami wichury chmur i mgieł nadając już i tak dzikiemu krajobrazowi piętno grozy.

Takim też zobaczył Fitz Roy w 1782 roku Antonio de Viedma, którego imieniem nazwano potem jedno z jezior górskich Patagonii. W czterdzieści lat później, w czasie swej głośnej podróży na „Beagle“ dookoła świata, zobaczył Fitz Roy Charles Darwin. Kapitanem „Beagle“ był Fitz Roy i właśnie jego imieniem i nazwiskiem ochrzczono szczyt. Nazwę tę nadał Francisco P. Moreno w 1876 roku.

W 1902 roku geolog Rudolf Hauthal rozpoczął pierwszy naukową eksplorację tej grupy górskiej. W tym samym czasie w leżącym na północnej półkuli naszego globu Turynie wyświęcał się ojciec De Agostini, późniejszy misjonarz w Patagonii, któremu większa część życia upłynęła nie tyle na pracy misyjnej, co na poznawaniu Andów.

W kilkanaście lat po wyprawie Hauthala pod Fitz Roy udało się trzech niemieckich alpinistów, A. Koelliker, L. Witte i Kohn. Towarzyszył im, osiadły już wówczas w Patagonii O. De Agostini. Jednak szczyt wydał się im zbyt niedostępny, więc wybrali sobie inny, łatwiejszy cel: zbadanie doliny Rio Tunel i sąsiadującego z nią łańcucha górskiego Cordon Mariano Moreno.

De Agostini nie rezygnował łatwo. W 1931 i 1932 roku wraz ze swoimi ziomkami E. Croux'em, Carrelem i L. Bron'em z Courmayer jeszcze dwukrotnie podszedł pod Fitz Roy, który i tym razem jednak go odstraszył.

Nadszedł rok 1937. Na skrzęsane ściany szczytu porwało się czterech Włochów: A. Bonnacossa, E. Castiglioni, T. Guilberti



i L. Dubosc. Mimo, że nie udało się im stanąć na szczycie, to jednak w jego zdobyciu mają swój udział. Do Bonacossy i Castiglioniego należy odkrycie najlepszej drogi wejścia na szczyt, znajdującej się od strony wschodniej. Górna partia ściany wydawała się nie do przebycia. Potężne monolitowe zerwy nie rokowały szans i Bonacossa zawrócił. Było to czternaście lat przed zdobyciem szczytu przez Francuzów, którzy kontynuowali drogę Włochów.

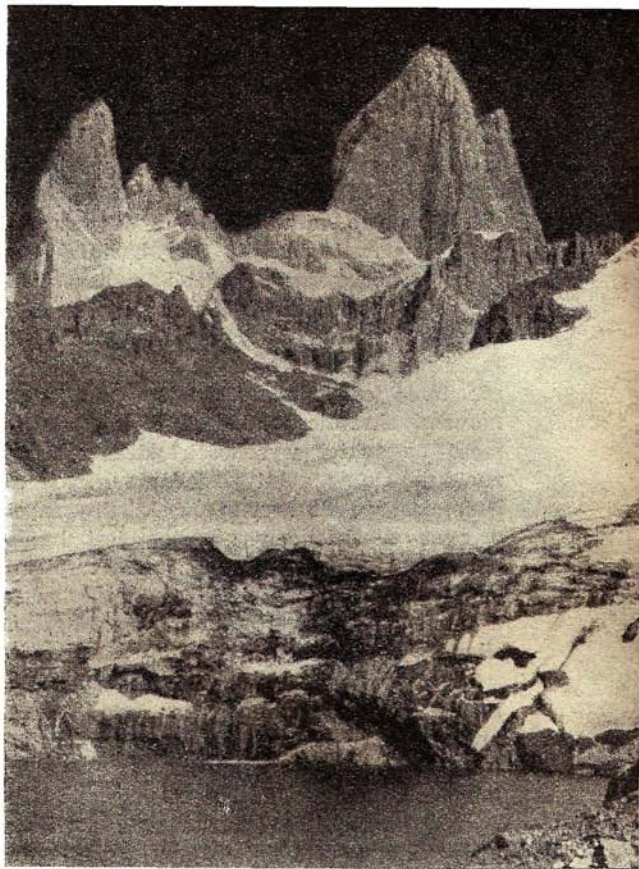
Nim jednak nadszedł rok 1951 pod Fitz Roy był jeszcze Amerykanin z Buenos Aires, Hans Zechner. Problemem Fitz Roy zainteresował się on w 1947 roku i już w rok później, wraz z M. Bertone i N. Gianolini zaatakował zachodnią ścianę szczytu. Próba wejścia od tej strony była jednak wielkim nieporozumieniem. Zachodnia strona jest wystawiona na potężne, wiejące stale, zachodnie wichury, a przy tym wspinaczka skalna i to o najwyższych trudnościach rozpoczyna się już od wysokości 1000 m n.p.m. Przeciwnie, silnie zaśnieżona w dolnej partii, wschodnia ściana, pozwala stosunkowo łatwo dotrzeć do wysokości 2800 m n.p.m. Zechner zniechęcił się szybko do obranej drogi i próbował z kolei szczęścia od północnej strony, lecz również bez powodzenia.

Mimo to, tym razem z Austriakami: Danglem, R. Matzi i G. Lantschenerem, powrócił on w 1949 roku jeszcze raz pod Fitz Roy. Ale podobnie jak w minionym roku, dwie nowe próby od północy i zachodu nie dały rezultatu.

Z kolei zainteresowali się szczytem Francuzi. Ale tu już oddamy głos Lionelowi Terray²⁾:

1) Fitz Roy (3441 m) jest jednym ze szczytów leżących na wschodnim skłonie Kordylierów Patagońskich w okolicy Jeziora Viedma. Góry te nadzwyczaj urwiste i silnie zalodzone, posiadają już klimat arktyczny. Granica wiecznego śniegu leży tu na wysokości 1200 m, szybkość wiejących stale wiatrów zachodnich wynosi przeciętnie 80 km/godz., a sięga i nieraz do 200 km/godz. Górą tym, nadzwyczaj ciekawym dla alpinistów, poświęcimy jeszcze uwagę w jednym z następnych numerów „Taternika”.

2) Przytoczony opis wejścia przez Lionela Terray jest wzięty z jego artykułu „Cerro Fitz Roy”, zamieszczonego w „Berge der Welt” — Siebenter Band 1952, Büchergilde Gutenberg — Zürich. Tłumaczenie podane jest w skrócie.



„Już dawno obudził Fitz Roy (3441 m) zainteresowanie francuskich wspinaczy, zwłaszcza od chwili, gdy w „Alpinisme“ ukazał się o nim artykuł z ilustracjami. Nam wydawał się Fitz Roy bardziej uroczy i pociągający, aniżeli nawet jakiś szczyt ośmiotysięczny. Ściany jego z czerwonego granitu, położone na krańcu świata, a mimo to teoretycznie łatwo i względnie tanio osiągalne, stawiają przed wspinaczami skrajnie trudne problemy, ale jeszcze na takiej wysokości, gdzie człowiek znajduje się w pełni posiadania swych sił. Natomiast co do warunków klimatycznych, o czym wiedzieliśmy również, jest bardzo niekorzystnie położony dla alpinisty; piękna pogoda jest rzadko i tylko krótkotrwała, a burze są często i występują ze straszną siłą.

Skoro wreszcie wyprawa na Fitz Roy została zadecydowana, musiano jeszcze przezwyciężyć liczne trudności. Początkowo było nas tylko czterech: Rene Ferlet³⁾ jako kierownik, Jacques Poincenot, Guy Poulet, na miejsce którego wszedł później Guido Magnone i ja; jednak powoli projekt przemienił się w wielkie, dobrze zorganizowane przedsięwzięcie; znany alpinista dr Marc Azéma był naszym lekarzem, Georges Strouvé foto-operatorem. Przyłączył się do nas Ludwik Depasse, który niedawno wywędrował do Argentyny, podobnie jak fizyk prof. Ludwik Lliboutry z uniwersytetu Santiago, który zamierzał sporządzić mapę tego obszaru. Rząd ar-

³⁾ Pomysł podjęcia wyprawy nasunął się R. Ferletowi z początkiem 1951 roku, pod wpływem przeczytanej książki misjonarza De Agostiniego „Andy w Patagonii“. Zdołał on zainteresować nim J. Poincenota, a następnie resztę uczestników. Doktor Azéma, chirurg z Beziers, mimo swoich 76 lat, jeden z pierwszych zgłosił się do wyprawy ofiarując milion franków. Wyprawa finansowana była częściowo przez organizację górską i sportowe, a częściowo przez uczestników. Kierownikiem wyprawy był René Ferlet, niemniej od momentu założenia bazy głównej przez okres przeprowadzania ataku, powierzył on kierownictwo Lionelowi Terray, znanemu przewodnikowi z Chamonix, uczestnikowi wyprawy na Annapurnę (8078 m), posiadającemu największe doświadczenie z wszystkich uczestników wyprawy.

Na stronie 7:

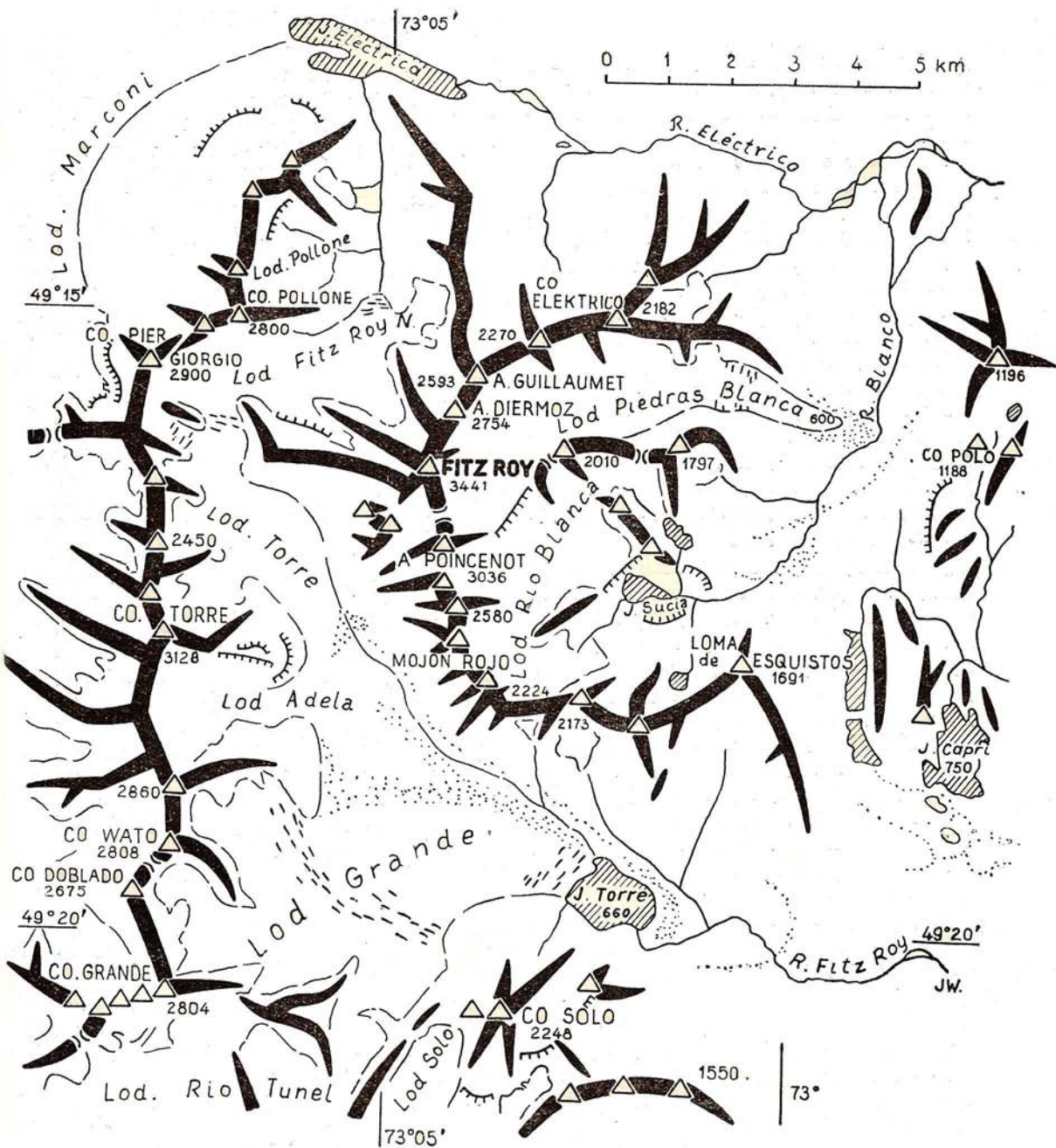
U góry: FITZ ROY WIDZIANY ZNAD JEZIORA
LOS TERRES G. Strouvé

U dołu: LIONEL TERRAY G. Strouvé

gentyński wreszcie wyznaczył porucznika Ludwika Ibanez'a jako oficera łącznikowego. 19 grudnia 1951 zebraliśmy się wszyscy w Buenos Aires, a 20 grudnia przyjął nas bardzo uprzejmie generał Peron; wspierał on wyprawę w wydatnej mierze. Dwa dni później odlecieliśmy samolotem do portu Santa Cruz, 2000 km na południe od stolicy Argentyny. 24 grudnia dwa wojskowe wozy ciężarowe i jeden mały autobus przewiozły nas po pełnej kurzu drodze na wschodni kraniec wielkiego jeziora Viedma, u stóp masywu Fitz Roy. 25 grudnia przy pięknej pogodzie zobaczyliśmy pierwszy raz jego dumną sylwetkę, a obok niego Torre (3128 m).

Jednak minęło jeszcze 14 dni zanim mogliśmy założyć nasz obóz-bazę. W tym czasie trzeba było stoczyć twardą walkę ze złą wolą człowieka, który nie chciał oddać do naszej dyspozycji środków transportu poprzednio przyrzeczonych, a nadto z potęgą żywiołów. Musieliśmy przebyć wiele rzek i to wszystkie przy wysokim stanie wody. Przy przekraczaniu rzeki Fitz Roy wydarzyło się straszliwe nieszczęście, a mianowicie nasz towarzysz Jacques Poincenot wskutek fatalnego wypadku zginął w fałach. Mimo całego przygnębienia wywołanego przez śmierć naszego przyjaciela, zdecydowaliśmy się jednak prowadzić dalej nasze przedsięwzięcie. Obóz baza został rozbity na wysokości ok. 800 m w gęstym lesie, który nas ochraniał przed wichrem. Choć wiele czasu straciliśmy, zawsze jednak mieliśmy do rozporządzenia jeszcze dwa miesiące. Już pierwszego wieczoru, 5 stycznia 1952 r., osiągnąłem na wyprawie rozpoznawczą szczyrbę w bocznej grani i mogłem stamtąd ustalić w głównym zarysie dość skomplikowaną drogę aż do szczytowej ściany. Pogoda jednak następnego dnia tak się popsuła, że wydawało się niemożliwością, aby założyć obóz I na upatrzonym miejscu, tj. u stóp ściany. Mimo to wszyscy przystąpili do przenoszenia pakunków; nie było żadnych tragarzy⁴⁾, a setki kilogramów środków żywności

⁴⁾ Mieszkańcy Patagonii są świetnymi jeźdźcami, natomiast nie lubią chodzić pieszo. Dlatego też uczestnicy wyprawy musieli obejść się bez nich.



Grupa Fitz Roy. Opracowano na podstawie mapy schematycznej L. Lliboutry'ego

z różnych materiałów musiały być przesunięte bliżej szczytu. Po siedmiogodzinnej mordzędze osiągnęliśmy wreszcie siodło między wschodnią ścianą pd.-wschodniej grani, a bardzo wybitnym uskokiem skalnym przebiegającym ze wschodu na zachód.

7 stycznia o godz. 15.00 znajdujemy się w sześciu znowu na tym siodle po bardzo nużącym podejściu w głębokim śniegu i rozpoczynamy ustawiać namiot. Wydaje się niebardzo rozsądną rzeczą urządzić obóz w szczybie, w którą wichry wala jak w potężny lej, nie ma jednak wyboru. Dwie godziny mordujemy się z namiotem w zacieklej walce z burzą i ogarniającym nas coraz większym znużeniem“.

Pisze tu Terray o założeniu przez Francuzów obozu I, w którym pozostali tylko Magnone i Terray, a reszta zeszła do bazy. Ustawiony w szczybie namiot w końcu został rozdarty przez wiatry, zmuszając ich do wykopania jamy śnieżnej.

„Zabieramy się naszymi małymi aluminiowymi łopatkami do pionowej ściany nawisu, dostatecznie grubego dla zrobienia jamy. Każdy rozpoczyna własną dziurę w śniegu, pracujemy gorączkowo, aż poszczególne chodniki łączą się i powstaje jednolita jama. Wyczerpani rzucamy się w niej na nadymane materace. Cały następny dzień spędzamy na powiększaniu naszej jamy tak, byśmy w niej jakoś wygodnie mogli żyć. Stwierdziliśmy bowiem, że namioty w tym kraju nie nadają się do użytku. Niekiedy trzeba się całymi dniami chronić w jamach śnieżnych przed potęgą patagońskich wiatrów. W ten sposób będziemy zdążać od jamy do jamy aż do stóp szczytowej ściany, a w ostatniej trzeba będzie zgromadzić żywność i inne materiały na dwa tygodnie.

Druga jama — równie wielka jak pierwsza — powstaje na górnym brzegu lodowca Fitz Roy, dokładnie tam, gdzie się rozpoczynają właściwe trudności techniczne. Trzecia ma powstać na śnieżnym siodle, znajdującym się nieco powyżej skalnej szczyby, już na pd.-wsch. grani. Dostarczyć tam paręset kilogramów, to ciężki problem. Wprawdzie trudności drogi nie są

jeszcze skrajne, jednak w Alpach oznaczyłoby się ją jako poważną turę dla wypróbowanych wspinaczy.

11 stycznia, Depasse i ja opuszczamy wcześniej obóz II, aby wynieść pierwszy ładunek na siodło i rozpocząć budowę jamy. Już pierwsza ściana skalna przeciwstawia nam nieprzewidziane trudności. Dla późniejszych wejść będzie musiała być założona drabina sznurowa, ponieważ czegoś podobnego nie można co dzień powtarzać. Tymczasowo zadawaliśmy się liną. O 14.00 po południu osiągamy siodło śnieżne i pierwszy raz z bliska oglądamy szczytowe zerwy pd.-wsch. grani. Jej łuk ponad nami jest niezwykle zwarty i prawie pionowy. Widać tylko pierwszych 100 m; górne partie i szczyt tkwią w chmurach. Wschodni stok siodła, na który wydostaliśmy się, choć zasłonięty od zachodniego wiatru, nie wydaje się dogodny na obóz. Trzeba by żyć stale nad przepaścią. Zachodnią natomiast jego stronę stanowi zachęcający, łagodny stok śnieżny, a kilka metrów poniżej rozciąga się szeroki, piarżysty taras, gdzie przy pięknej pogodzie można by wysuszyć sprzęt. Jednak już na głębokości 40 cm (kopiąc jamę — przyp. Red.) natrafiamy na twardy lód; można pracować jedynie przy pomocy czekana. W tych warunkach praca posuwa się naprzód bardzo wolno. W międzyczasie zrywa się burza i potęguje się z minuty na minutę. W moim szybie nie odczuwam tego zbyt silnie, ale Depasse na zewnątrz krzyczy do mnie: „czegoś podobnego jeszcze nie przeżywałem, to jest co najmniej 200 km na godzinę!“ Sceptycznie odpowiadam: „Trochę przesadzasz, chyba“. On na to: „Nie wierzysz mi? — To wychyl się tylko!“ Zaledwie opuściłem mój schron, wpadam formalnie w prąd, w którym można się utrzymać tylko na czworakach. Jedynym środkiem ratunku, to ucieczka. Spodziewaliśmy się, że posługując się szpadami na linie będziemy mogli szybko osiągnąć obóz II, skoro jednak wyrzucam moją podwójną linę widzę ze zdumieniem, że 10-milimetrowe liny powiewają poziomo jak chorągiew! Muszę je ściągnąć i obciążyć obydwie końce dużymi kamieniami. Jednak kamienie klinują się w szcze-



FITZ ROY (3441 m) od strony wschodniej. Droga wejścia wyprawy francuskiej w roku 1951.

Objaśnienia do rysunku:

1, 2, 3 — Obozy.

B — Miejsce biwaku G. Magnonego i L. Terray'a w dniu 1 lutego.

a — Miejsce to osiągnęli alpinści włoscy w 1937 roku.

j — Wielka półka, 100 m ponad obozem 3.

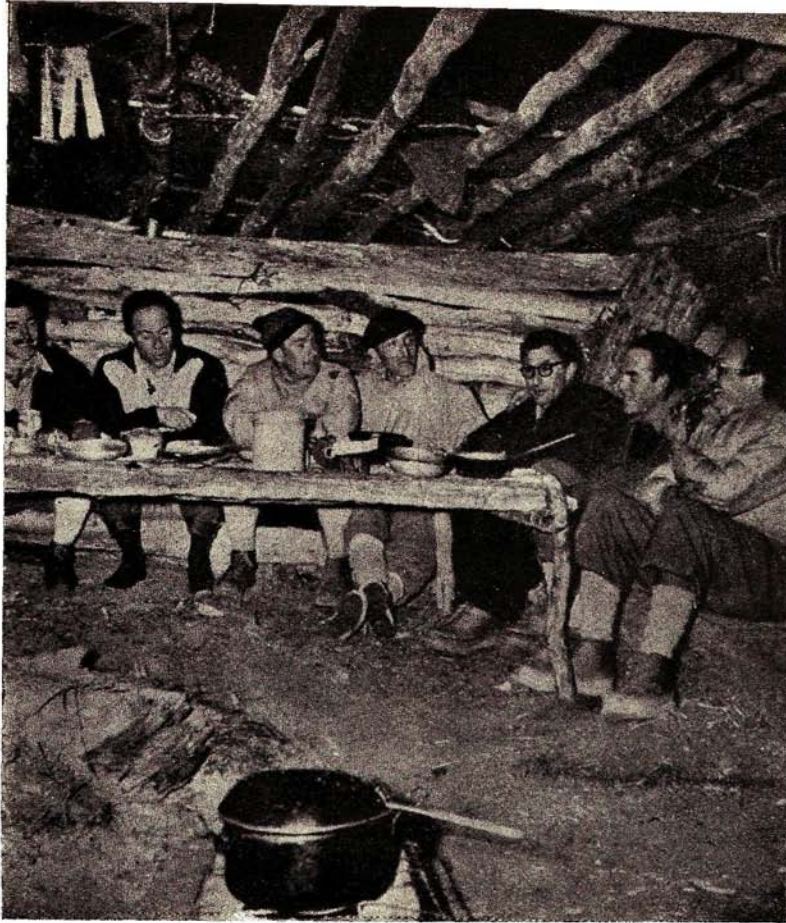
k — Komin, którego pokonanie zajęło 5 godzin.

s — Ostatni, najniebezpieczniejszy odcinek wspinaczki przed wyjściem na granią szczytową.

w — Miejsce, w którym załamała się próba Austriaków w 1947 roku.

linie. Mój plecak (dźwigany wiatrem — przyp. red.) leci przez głowę, tak że muszę przykrócić rzemienie. W końcu udaje się nam dotrzeć na dół, do platformy w rynnie. Tu jest trochę spokojniej, ale za to rozpoczyna się silna śnieżycą. Każdy chwyt musimy zmusznie wygrzebywać spod śniegu. Lodowy stok wymaga trzykrotnego, trudnego zjazdu w linii ukośnej i to wszystko

w prawdziwych kaskadach śnieżnych. Wreszcie znajdujemy się przy linie umieszczonej na stałe; z zapadnięciem nocy szczęśliwie osiągamy II obóz, ale wejście do jamy jest całkowicie zasypane. Ze wznoszącym niepokojem wykopujemy większą ilość dziur w śniegu. Wobec całkowitego przemoknięcia, biwak pod gołym niebem przy takiej burzy oznaczałby kompletną



W BAZIE. Siedzą od lewej: Ferlet, Debasse, Terraj, Azemá, Magnone, Ibanez, Lliboutry. G. Strouvé

katastrofę. W końcu jednak natrafiamy na wejście.

Zła pogoda zmusza nas do powrotu do bazy. Potem rozpoczynają się nużące transporty. Droga na lodowcu, pomiędzy obozem I i II, gdzie już wielu pobłądziło, została wyznaczona tykami. 16 stycznia wreszcie wyjaśnia się. Magnone i ja umiściliśmy na stoku lodowym drabinę sznurową, a ponadto 90 m stałej liny. 17 stycznia niebo jest bez chmur, ale w górze szaleje orkan. Mimo tego zdecydowaliśmy się wyjść: Ferlet, dr Azemá, Magnone i ja. Mimo dużego obciążenia posuwamy się szybko. Na siedle uderza w nas wicher z całą wściekłością. Przez ścianę, gdzie przed sześciu dniami zjeżdżaliśmy, przebijamy się do niewielkiej jamy, którą wspólnie z Depasse'm zaczęliśmy uprzednio wykładać, i natychmiast bierzemy się do pracy. Teraz widzimy, że miejsce (na zachodnim stoku — przyp. Red.) było źle wybrane.

Pod uderzeniami orkanu drży sklepienie jamy, uszy boją, nie można znaleźć spokoju; bezwarunkowo musimy urządzić nową jamę na wschodnim stoku. Po pięciogodzinnej, gorączkowej pracy schodzimy do bazy. Był najwyższy czas zrobić przerwę wypoczynkową po czternastodniowym kurczowym zmaganiu się.

21 stycznia wypogadza się wreszcie całkowicie i nawet w górze wieje słaby wiatr. Wychodzimy jeszcze raz, z dużymi ciężarami (30 kg) do III obozu. W jamie zostaje rozbity dwuosobowy namiot, do którego wciskamy się we trzech... Następuje dość względny odpoczynek. Rano nie jest już tak pięknie, wieje przenikliwy wiatr. W naszej małej jamie, wklonowani pomiędzy żywność i sprzęt, potrzebujemy nie do uwierzenia wiele czasu, aby się przygotować do wyjścia. W końcu ok. godz. 9.00 Guido Magnone i ja, ciężko obciążeni linami i hakami, możemy wyruszyć.

W dniu dzisiejszym mamy ambicję osiągnąć wielką półkę około 100 m ponad nami i cały ten odcinek ściany zabezpieczyć stalowymi linami i drabiną sznurową. Wskutek wzmagającej się nawałnicy nie udaje się nam tego osiągnąć i musimy wśród trudnych manipulacji zjazdowych przeprowadzić odwrót do III obozu. Z jednego zdajemy sobie teraz sprawę dokładnie: jeśli jakąś partię w ścianie zaskoczy patagońska burza, to można ją uważać za nieodwołalnie straconą.

Od 23 do 26 stycznia jesteśmy uwięzieni w jamie przez prawdziwie arktyczną zadymkę. Spada metrowy śnieg, a temperatura obniża się do -20° C. Aby się ogrzać i czymś zająć, pracujemy ustawicznie nad powiększeniem naszej jamy, która w końcu przemienia się w małą salę tancezną o powierzchni prawie 20 m². 27 stycznia nie mamy już nic spirytusu do maszynek i wykorzystujemy chwilowe roz pogodzenie na próbę wyrwania się z naszego więzienia. Brnąc po brzuch w świeżym śniegu, dokonujemy niebezpiecznego zejścia i całkowicie wyczerpani docieramy do bazy. W czasie dni odpoczynku pada deszcz jak w czasie potopu.

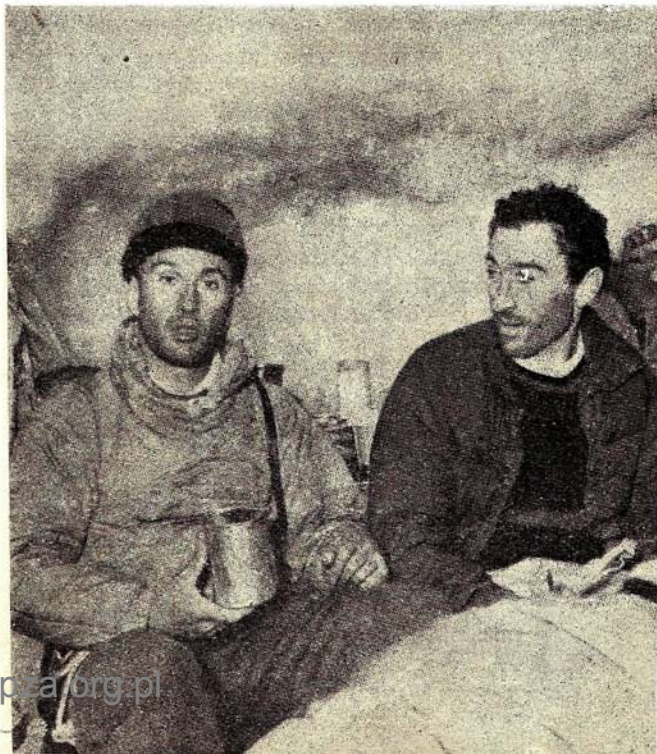
Rano 30 stycznia pogoda jest piękna i spokojna; pierwszy raz od początku wyprawy urządzamy generalny atak. Śnieg jest niezwykle ciężki i głęboki, mimo to jednak Guido, Lliboutry i ja docieramy przed zapadnięciem nocy do III obozu. 31 stycznia rano pogoda wygląda wątpliwie, ale około godz. 10.30 słońce przebija się przez chmury, wobec czego decydujemy się na nową próbę.

Po niewielu minutach Guido i ja mamy już poza sobą grań lodową wyprowadzającą do rysy znanej już z 22 stycznia. Wykorzystując pozostawione haki Guido początkowo wspina się szybko, wkrótce jednak musi podjąć na nowo żmudną ślusarską robotę. Wbija kliny drewniane grubości 3 do 4 cm, chcąc zaś jak najwięcej, zaoszczędzić ich, wbija je stale tak wysoko jak tylko zdoła osiągnąć. Na pewnej wysokości rysa gubi się w niszy, utworzonej przez przewieszkę, ale powyżej ciągnie się dalej. Skoro Guido doszedł do

wgłębienia, wydawało się, że nie będzie mógł dalej pójść. Zrzuca liczne, luźne bloki, które ze świstem przelatują koło mnie, a potem krzyczy do mnie: „Uwaga, ruszam, tutaj wszystko zmurszałe“. Powstrzymując oddech, w napięciu, obserwuję go, jak powoli posuwa się do góry. Teraz jest już pod przewieszką. Wychylony do tyłu, sapiąc, próbuje wysoko wbić hak, potem nagle wyciąga się w górę, krótką chwilę walczy zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, teraz znika ponad przewieszką. To już dokonane! Dobrze ubezpieczony idę szybko za nim; na przewieszczce muszę stwierdzić: to jest rzeczywiście na granicy możliwości.

Najbliższe dwie długości liny, we wschodniej ścianie, są ciężkie, ale korzystamy tutaj mało z naszych haków i posuwamy się szybko naprzód. Teraz Guido znajduje się pod drugą przewieszką, którą przecina krótki, wąski komin. Słyszę jak chwilę mruczy, wreszcie woła do mnie: „Tutaj nie da się przejść! Spróbuj sam, jeśli chcesz. Ja nie dam rady, a nie ma gdzie

L. TERRAY I G. MAGNONE W OBOZIE 3. *G. Stroué*



wbić haka". Obejmuję prowadzenie i widzę na pierwszy rzut oka, że Guido ma rację. Jednak po wielu wreszcie próbach wznoszę się kawałek w górę z pomocą haka wbitego za ledwie na centymetr w prawie niewidoczną rysę. Potem udaje mi się wbić klin w dno szpary zapełnionej lodem. Na tym klinie przymocowuję pętlę, powierzam cały mój ciężar temu przyrządowi — o dziwo, trzyma. Teraz wygrałem: jeszcze tylko dwa haki i możemy się wydostać. Jesteśmy na szerokiej półce, przecinającej 100 m ponad III obozem, dużą część ściany. Zgodnie z planem idziemy nią aż do stóp rzędu kominów i rys, które zdaje się umożliwią dalszą drogę. Pierwszy komin nie wygląda zbyt zachęcająco; silnie przewieszają się i jest kruchy.

Na dziś już za późno. Zostawiamy przeto cały sprzęt, który posiadamy. Potem zjazd na 120 metrowej linii, którą przytwierdziliśmy przy wejściu. O 10.00 wieczorem jesteśmy już w jamie, gdzie oczekuje nas Azéma, Ferlet i Strouvé.

Najbliższego ranka zrywamy się już o godz. 5.00. Pogoda wspaniała i nie ma zupełnie wiatru. Wreszcie, wydaje się, że uśmiechnęło się do nas szczęście, dziś albo nigdy! Szybko przygotowujemy się do wymarszu. Skoro jednak podnosimy nasze wory, musimy sobie powiedzieć, że z takim ciężarem pójdziemy zbyt wolno, bo trzeba będzie ustawicznie podciągać je na linie. To zaś tutaj, w kraju burz, mogłoby się okazać fatalne. Aby odciążyć nasze plecaki, rezygnujemy najpierw ze sprzętu fotograficznego i części ubrania, potem jeszcze pozostawiamy dużą porcję żywności i napojów. Zatrzymujemy jedynie 1 litr wody, 250 g ciasta i tyleż konserw. Guido chce jeszcze odrzucić trochę haków, które tworzą trzon naszych ciężarów. Ponieważ jestem najmocniej przekonany, że trzeba ich wiać jak najwięcej, potajemnie wsadzam je z powrotem.

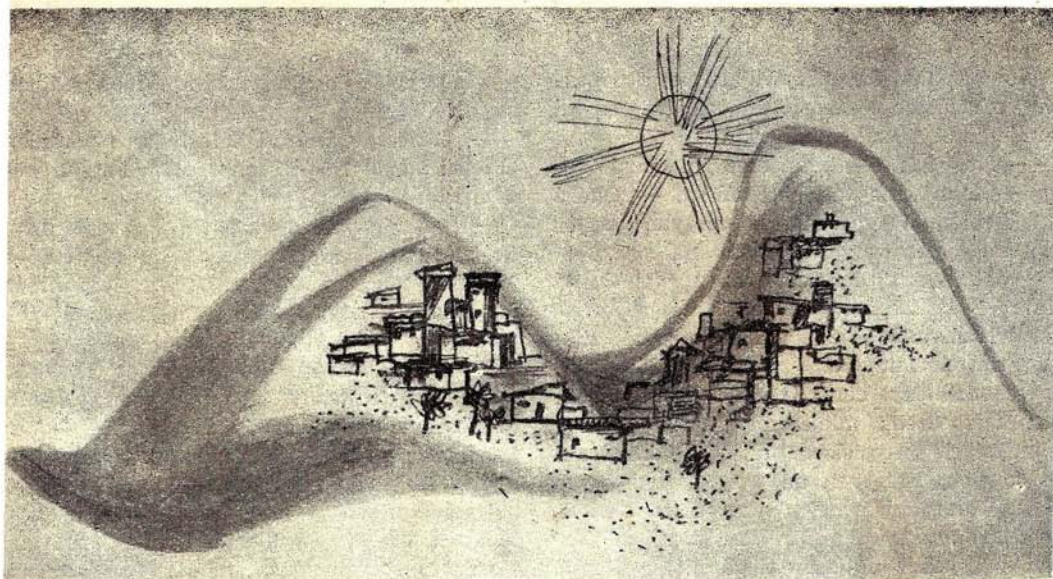
Dzięki stałym linom już po czterech godzinach znajdujemy się u stóp odrażającego komina. Guido idzie pierwszy, natrafia na duże trudności i po 7 do 8 m schodzi z powrotem. Teraz ja próbuję. Pięć godzin później — w czasie których niewiele bra-

kowało, żebym był Guida zabił wielkim głazem — znajdujemy się na małej platformie zamykającej przewieszony komin, w związku z czym Guido robi uwagę: „20 m w ciągu pięciu godzin, to znaczy do szczytu siedem do ośmiu dni“. Mimo to obejmuje prowadzenie. Wkrótce natrafiamy na przewieszki nie dające się przezwyciężyć, ale po wielu próbach udaje się mu ominąć je niesłychanie śmiałym trawersem w lewo. Tu ściana nieco się kładzie, ale chyty są pokryte lodem i śniegiem. Ponieważ jestem lepiej obyty z oledzoną skałą, przejmuję prowadzenie. I znowu skrajnie trudna przewieszka. Dzień szybko zbliża się ku końcowi. Musimy znaleźć bezwarunkowo jakąś platformę na biwak. Jeszcze jedna długość liny w całkowitej ciemności i wreszcie docieramy do miejsca od biedy nadającego się na nocleg. Dwie małe platformki, oddalone od siebie 4 do 5 m, muszą wprawdzie być oczyszczone ze śniegu, lodu i przymarzniętych kamieni. Dopiero koło północy możemy się udać na spoczynek, ubezpieczeni na solidnych hakach. Noc jest jak na Patagonię niezwykle łagodna.

Z pierwszymi promieniami słońca rozpoczyna się wspinaczka od nowa. Jeszcze jest pięknie, ale obłoczki i spokój powietrza zapowiadają zmianę pogody. Dzisiaj musimy osiągnąć szczyt; jutro może być już za późno. 300 m niżej stoją nasi towarzysze, obserwują nas stale, filmują i zachęcają wołaniem. Jesteśmy teraz na ostrzu pd.-wsch. grani pod potężnymi przewieszkami. To jest ta wielka niewiadoma. Pierwsze spojrzenie działa przygnębiająco. Jesteśmy już dość wyczerpani i chociaż już od dawna wbiłaliśmy w miarę możliwości wiele haków, rozporządząmy tylko czterema klinami i tuzinem pokrzywionych haków.

Z troską spoglądam na zachód: większość nieznanych łańcuchów górskich, które wznoszą się ponad potężne lodowce, jest jeszcze czysta, ale najwyższe szczyty już noszą czapki z chmur. Wydaje mi się to wszystko beznadziejne i radzę schodzić za-

DOKOŃCZENIE NA STR. 48



Na Corno Grande

JAROSŁAW RUDNIAŃSKI

Spałem tak lekko, że gdy tylko poczułem dotknięcie, obudziłem się. Od razu usłyszałem głośny szum potoku płynącego tuż pod naszymi oknami i zobaczyłem męczącą w ciemności twarz Francesca.

— Wstawaj! — wyprostował się i rzucił na podłogę plecak.

— Alza-ti! Alza-ti! Andiamo, będzie ładny dzień! — Pokazał ręką na okno, poza którym nie można było dojrzeć nic prócz skłębionej, ciemnej mgły, zwałającej się z potężnego zbocza jak lawina.

No trudno, może i będzie „un bel giorno“.

Bo jak nie... Obudziłem Lutka. Klnąc paskudnie Apeniny, Francesca, mgłę i nasze wariackie pomysły, zaczął się jednak ubierać w łóżku i po chwili wylazł spod koldry w butach, rękawicach i czapce. Rzeczywiście było piekielnie zimno.

Na dole, w małej bawialni górskiego hoteliku palił się już na kominku ogień, a Giuseppe nalewał do filiżanek czarną kawę. Plecaki mieliśmy spakowane, Fran-

cesco i Giuseppe zarzucili jeszcze na ramię liny i wzięli czekany. Zamykając za sobą drzwi, spojrzalem z przyzwyczajenia na zegarek — była godzina druga.

Kiedy otuleni chłodną, przernikającą przez rękawice i kurtki mgłą, mijaliśmy ostatnie domy Pietracameli, okazało się nagle, że jest nas nie czterech, a pięciu. To znaczy: Lutek, ja, mój przyjaciel Francesco, znany przewodnik apeniński i narciarz, kuzyn Francesca — Giuseppe, też przewodnik i — Bianco, mały włoski owczarek. Tego „piątego“ spostrzegliśmy dopiero za mostkiem, gdzie droga zwężała się wchodząc na północny stok wąską, kamienistą ścieżką. Przyleciał cicho, nie szczekając i szedł teraz koło nogi Francesca uważając widać, że jest „tutto bene“.

— A casa! Watte-ne! Do domu! Pójdziesz! — Francesco schylił się po kamień, Bianco podwinął ogon i pognał w dół. Na trzecim zakręcie serpentyny zobaczyliśmy go znowu — szedł za nami w odległości

około 100 metrów ukrywając się z wprawą zawodowego tropiciela za większymi kamieniami i załomami skał.

— No, tak — Francesco machnął ręką — to zawsze tak się kończy. — Chodź tu! Vieni qua! — powiedział zrezygnowanym głosem, patrząc z wyrzutem na psa.

— Najwyżej będziemy go wciągać na linie — dodał z westchnieniem, jakby usprawiedliwiając się z posiadania tak niesforne go towarzysza.

Wchodziliśmy coraz wyżej. Ścieżką szła nagim zboczem, miejscami szarzały plamy piarzystych usypisk, przecięte obrywami brązowych, lśniących od wilgoci łupkowych skał. Rozwidniało się, zerwał się wiatr, rwał na strzępy mgłę, rozrzucił ją po zboczach i spychał do szerokiego żlebu. Ponad nami, nad oślizgłą, zwietrzałą kruszyną widać już było darnisty stok. Wyżej czernił się las.

— Patrz, idziemy ścieżką mułów — Giuseppe pokazał na odciski kopyt w miejscu, gdzie kończył się piarg. — Tędy zwożą z hal sery albo przeprawiają się przez góry na drugą stronę. Ale my pójdziemy teraz na prawo, przez las...

Lutek zatrzymał się i spojrzał w dół.

— Zobacz, jak się patrzy stąd, przynajmniej wiadomo, dlaczego ta dziura nazywa się Pietracamela — mruknął. — Wiesz?

Kilkaset metrów pod nami, przytulone do skalnego zbocza, owiane rzadkim pasmem mgły, wznosiły się dwa olbrzymie garby, niczym gigantyczny, potworny wielbłąd. Na garbach można było odróżnić płaskie, lekko wzniesione dachy domów, niskie kominy, czerwoną wieżę kościoła. Domy, a raczej budy z kamienia, były parterowe, a dachy ich tworzyły równą linię, równoległą prawie do powierzchni pagórków, co bardziej jeszcze przypominało garby wielbłąda.

Pietracamela, wielbłąd św. Piotra! Najwyżej położone osiedle w Apeninach, Gran Sasso d'Italia...

Ale chyba tylko tym góralom, do których cywilizacja dotarła dopiero kilkadziesiąt lat temu, którzy do dziś dnia jeszcze opowiadają sobie najdziwniejsze baśnie,

mogło przyjść do głowy, że św. Piotr jeździł na wielbłądzie!

— Dlaczego nazwaliście wasze osiedle „Pietracamela“? — Francesco wzruszył ramionami.

— Któż to może wiedzieć? Jak mieszkał tu mój pradziadek, ten, co do zbójników przysłał, tak samo tu wyglądało, jak teraz. i tak samo się nazywało... Chodźmy, chodźmy, non c'è tempo da perdere!

W lesie było jeszcze mroczno, gałęzie świerków zwieszały się nad drogą, wiatr zrzucił z bukowych liści krople mgły, Szliśmy skrajem. Pod nami, w kamiennym żlebie, huczał potok — srebrne strugi spadały siklawami z głazów, w głębokich, skalnych „wannach“ przelewała się przezroczysta, błękitna woda. Przecieliśmy łąkę, żółtą i liliową od kwiatów, na które padały już pierwsze ukośne promienie słońca. Zaraz za łąką zaczynał się ostry stok, porośnięty „macchią“, ponad nim szeroka hala i — znowu las. Na hali stało kilka kamiennych bacówek, na płaskich, pochyłych dachach leżały wielkie kamienie.

— Jak przyjdzie silny wiatr wiosną, albo jesienią, to i to nie pomoże. Zrzuci dach razem z kamieniami — powiedział Giuseppe.

— Słyszycie?

Z drugiej strony halnego zbocza, przedzielonego pasmem wysokich świerków, dolatywał przerywany, rozpylony w powietrzu dźwięk dzwoneczków.

— Już się pasą — zauważył Francesco — i moje owce też tam są.

— Dużo ich masz?

— E, ze dwanaście sztuk... Prawie cała Pietracamela żyje z owiec. Widziałeś, jaka tam ziemia naokoło? Nawet las nie wszędzie chce rosnąć. Tylko krzaki i skała...

Na hali ścieżka kończyła się. Szliśmy zakosami wbijając mocno kanty butów i ślizgając się na mokrej psiarce. Potem trzeba się było przedrzeć jeszcze przez diabelnie kolące krzaki i — nareszcie! Stailiśmy na wysokim garbie, ponad przełęczą. Przed nami rozciągał się najwyższy masyw górski Apenin — Gran Sasso d'Italia. Szare, spękane skały, przecięte ciemnymi liniami spadających prostopadłe w dół

żlebów, zygzaki urwistych grani, ściany pionowe o wysokości kilkuset metrów. Słońca było już coraz więcej, wielkie grzędy skalne, potężne progi i przewieszki znaczył głęboki, mroczny cień. Migotały w słońcu rąbaniska piargów, skrzyły się w skalistych załomach płaty wiecznego śniegu. Chmur było niewiele, osiadły jednak nisko, kryjąc szczyty turni. Nagle jedna z nich, pchnięta widać silniejszym podmuchem, przesunęła się i w ciemnych stalowych ramach ukazała się groźna, surowa kopuła szczytu, wczepiona kamiennymi korzeniami w poszarpaną grań. Od południa turnia spadała w dół sześćset metrową ścianą, od wschodu i zachodu waliła się podciętymi urwiskami w niewidoczne przepaście.

— Corno Grande... — Francesco wpił się oczami w turnię, jak gdyby mierzył się z nią wzrokiem. — Corno Grande, padrone della montagna. Władca gór!

— Są trzy drogi — zwrócił się raptem do nas. — Właściwie dla nas tylko dwie. — Jedna od północy, grzbiet tam nie jest tak pochylony, mniejsza ekspozycja. Ta droga jest łatwiejsza. Druga od zachodu, trudniejsza. Trzeba obejść Corno Piccolo, o, tam — wskazał na wystrzelający z poza chmury ostry wierzchołek turni — przejść tym wielkim kominem, strawersować półką na wschód, potem przez lodowiec i kawałek ścianki do góry. Dalej już lżej...

— A ta trzecia droga? — spytał Lutek...

— Ta trzecia? Tam! — Pokazał ręką na prostopadłą, zawrotną ścianę, pociętą cieniami przewieszek i wygiętych dziwacznie gzymsów.

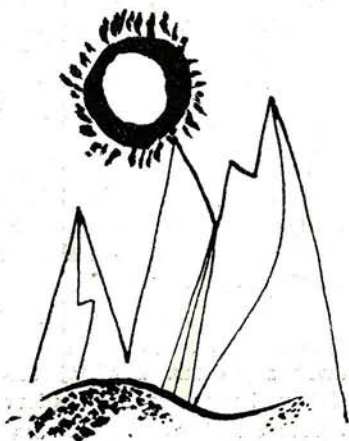
— Robiłeś ją? —

— Dwa razy. Pierwszy raz nie puściła. Drugi raz poszła cała „cordata“ — dwóch alpinistów i ja. To było pierwsze wejście Włochów. Potem jeszcze weszli Austriacy... Którą drogą pójdziemy?

Spojrzałem na Lutka.

— Drugą — powiedział ponuro, gotując się po cichu na śmierć.

— Tutaj każdego roku ktoś ginie — dodał pocieszająco Giuseppe. — Jednego zniosła lawina aż do Pietracamela...



— Teraz jest wrzesień — zauważył filozoficznie Lutek.

— A poza tym mnie się lawiny nie trzymają...

Poszliśmy. A właściwie nie tyle poszliśmy, ile zjechaliśmy na butach do przełęczy. Potem znowu trawiastym stokiem do góry, aż do linii skał. Podejście było paskudne — długie, nużące, stoki były bardzo strome i trzeba było dobrze uważać, żeby nie „odpaść“. Wreszcie dobrnęliśmy.

Słońce grzało już dosyć mocno, trzeba się było rozebrać. Przy okazji zjedliśmy śniadanie. Woda była tuż — ze skały tryskało małe źródelko. Spływała w dół cienką, białą smugą.

— Całą wodę z Apenino d'Abruzzi zbierają teraz do elektrowni — Francesco mówił o tym z niechęcią, nie lubił, jak ktoś włąził w „jego“ góry. — Widzieliście tę wysoką górę za Pietracamela? Tam właśnie jest elektrownia, w tej górze, siedemset metrów pod ziemią. Pocięli góry rurociągami, każdy strumyk idzie na turbiny. Tutaj jeszcze nie dotarli, za wysoko dla nich...

„Oni“ to byli ci z dolin, z poza Pietracameli. Obcy, wrogі świat.

— Andiamo, ragazzi, andiamo! Idziemy, chłopcy! — Francesco zerwał się i zapominając z miejsca o „nich“, o elektrowni i rurociągach ruszył przed siebie. Rzeczywiście — tamto pozostało daleko poza nami — w dolinie, której stąd nie było nawet widać.

Z początku droga nie była trudna. Trawersowaliśmy wygięte zbocze na zachód, pnąc się coraz wyżej po obrywach skał. Nachylenie stoku nie było duże, szliśmy tymczasem bez asekuracji. Patrzyłem z podziwem na naszego piątego towarzysza — Bianca. Skałkał po kamieniach jak kozica, wybiegał naprzód i merdając ogonem, robił minę na temat: — „Może by tak trochę prędzej? Zawsze mówiłem, że ludzie to marni alpinisci!“

Trawers się skończył, skręciliśmy w lewo, prosto do góry. Tu było gorzej. — Stok stawał się coraz bardziej stromy, przepaścisty. Francesco szedł pierwszy, za nim ja, potem Lutek, Giuseppe na końcu. Znowu włożyliśmy rękawice, krawędzie skał

były ostre. Co chwila trzeba się było podciągać na rękach przylegając całym ciałem do zbocza. Stok jeżył się od występów skalnych, tworzących małe przewieszki i niskie, na szczęście, progi.

Patrzyłem z niemałą tęsknotą na linę Francesca. A niech go! Uważa widać, że tu nawet lotna asekuracja nie jest potrzebna. Myśli pewno, że jesteście wytrawnymi alpinistami...

No, trudno, trzeba być takim za jakiego cię uważają. Lutek zdaje się, myślał tak samo jak ja, bo kłął tylko po cichu i zerkał ze zdziwieniem na Guiseppa, który szedł za nim, jak po deptaku gwizdząc neapolitańską piosenkę.

Stok skończył się, przed nami wznosiła się niezbyt ostra ściana. Francesco ruszył pewnie skośną, płytową załupą, my za nim. Guiseppe przestał gwizdać, trzeba było teraz uważać na każdy krok. Załupa nie była szeroka. Pod nami opadała w dół pionowa prawie ściana. Końca jej nie było można dojrzec, paręset metrów niżej kłębiły się białawe chmury.

W dalszym ciągu nie wiązaliśmy się. Ale Francesco widać znał dobrze tę drogę — tuż nad załupą ciągnęła się wygodna rysa dająca doskonałe chwytły dla rąk. Taternik mógłby tędy przejść nawet o zmroku. Zresztą zaczynałem mieć chwilami złudzenie, że jestem w Tatrach, gdzieś w drodze na Granaty. Brak było tylko trawiastych platform i pótek zawieszonych nad przepaścią, kęp kosówki i czerwonych korali jarzębiny. Te góry były nagie, jasno-stalowa szarzysta granitowych skał robiła wrażenie kamiennej pustyni, jakiegos wymarłego miasta olbrzymów.

Z kolei był komin, dalej trawers ze skalistą półką. Zaczynałem się złościć — droga wchodziła już w drugi stopień trudności, a myśmy wciąż szli bez asekuracji. Każdy ma swojego „konika“. Nie wiedziałem, że Francesco ma go też; nie lubił chodzić z liną, wiązał się tylko w najbardziej niebezpiecznych partiach, a o hakach nie było nawet mowy!

Ale kiedy doszliśmy tą półką do lodowca, wybuchła mała awantura. Giuseppe zdjął linę i powiedział stanowczo, że tu



chodzi o życie „dei nostri cari amici Polacchi“, którzy jeszcze nigdy w życiu nie chodzili po lodowcu (to była prawda) i że on dalej bez liny nie pójdzie. A jak Francesco się upiera, to niech weźmie sam odpowiedzialność za nasze życie. Lutek „honorowo“ zaoponował, chociaż nie przyszło mu to łatwo. Ja też, Francesco milczał. Powiedział tylko, że najgorsza droga będzie dopiero wyżej, nad lodowcem. Wobec tego poszliśmy bez liny.

Lodowiec, brudno-biała masa pokrytego zleżałym śniegiem lodu, ciągnął się kilkaset metrów w górę. Miał kształt klina. U dołu zweżał się, podcinała go „studnia“, do której lepiej było nie zaglądać. Jedynie dojście do lodowca prowadziło naszą półkę, która kończyła się przy jego zachodnim, dolnym skraju. Sam lodowiec nie był zbyt stromy, za to fatalnie śliski. Francesco poszedł pierwszy rąbiąc stopnie czekaniem i ciągnąc na linie skomlącego z przerażenia Bianca.

Szliśmy bardzo powoli, w odstępach parometrych, pochyleni mocno do stoku starając się zrównoważyć ciężar ciągnących w dół plecaków. Giuseppe, nie wiadomo dlaczego, szedł z tyłu za nami dużo niżej. Od lodowca wiało przejmującym chłodem i wilgocią. Kiedy byliśmy już blisko górnej krawędzi, zauważyłem, że lodowiec przecina wyraźna rysa, którą — tak mi się w każdym razie zdawało — można przejść na piarżyste usypisko dochodzące do ściany.

— Patrz, Francesco, tędy! Będzie prędzej!

Francesco przestał rąbać, odwrócił się w moją stronę.

— Co takiego? Che cosa?

— Patrz, tędy!

Zrobiłem krok, wbiłem but w rysę i — zanim Francesco zdążył krzyknąć — poleciałem w dół. W mgnieniu oka rozpostarłem szeroko ręce i nogi, żeby stworzyć jak największą powierzchnię. Na nic! Zsuwałem się coraz prędzej ścieraając dłonie do krwi, próbując wbić palce w zbity, mokry śnieg. Leciałem prosto w stronę przepaści, ku skalistej studni kończącej się u stóp przełęczy. Chcąc wbić obcasy w lód, podkurczyłem nogi przez co przesunął się środek ciężkości. Było jeszcze gorzej. Leciałem teraz bokiem starając się za wszelką cenę nie przekreślić głową w dół.

— Chociaż właściwie to wszystko jedno — przeszło mi przez myśl. — Sześćset metrów! Sześćset metrów! huczało mi w głowie.

Nagle kątem oka zauważyłem, że Giuseppe rzucił się w bok z lodowego stopnia, wariackim rozmachem wbił czekan w lód i zawisnął na nim, w prostej linii pode mną.

— Zatrzyma mnie! Ale jeżeli czekan puści, polecimy razem!..

Nie puścił. Uwieszony u ręki Giuseppe, wyciągnąłem z kie-

szeni składany nóż i wbiłem go w lód. Żeby tylko chwilę, jeszcze chwilę!... Francesco, blady, jak śnieg, szybkimi, pewnymi ruchami rozwijał linę. Rozkreślił nad głową, rzucił! Kiedy stanąłem znowu na stopniu, podałem Giuseppe rękę. Przez chwilę trzymał ją w uścisku, patrzyliśmy na siebie. Nikt z nas nie powiedział ani słowa.

Dalej poszliśmy już z asekuracją.

Ścianka, o której mówił Francesco, nastęrczała jedną zasadniczą trudność — Bianco. Piszczął i skowyczał, kiedy Francesco zawieszony na niewidocznym chwycie, obwiązywał go liną, wrywał się z rąk i — per Baccho! — chciał chyba popełnić samobójstwo. Żaden pies tędy by nie przeszedł! Dopiero kiedy dwa razy „odpadł“ i wisząc w powietrzu przebierał rozpaczliwie łapami, uspokoił się trochę. Niezbyt go lubiłem w tej drodze. Wypuszczając powoli linę ubezpieczającą Francesca — i Bianca zastanawiałem się, czy przyjdzie mi w końcu marnie zginąć przez tego „buffone di cane“, jak go nazywał Giuseppe. Na szczęście ściana była z granitu. Trzymała mocno, a Francesco, który szedł pierwszy, zawsze potrafił znaleźć jakieś stanowisko asekuracyjne.

Dochodziliśmy do szczytu. Odstąpił się nagle spoza wysokiego progu. Zatopiony w słońcu wierzchołek turni wrzywał się w błękit adriatyckiego nieba.

Teraz już droga była łatwiejsza, pieliśmy się, wpatrzeni w rumowisko olbrzymich, złoto-szarych głazów na szczycie. Wiatr dął ostro, chmury były pod nami, waliły tętna w skroniach. Wokół nas, na setki kilometrów rozpościerała się swobodna, wolna przestrzeń.

Na szczycie pierwszy był Bianco, my za nim.

Tak, Francesco miał rację — nie zapomina się nigdy widoku z wierzchołka Corno Grande! Staliśmy między dwoma morzami. Na wschód, poza pasmami chmur kryjących doliny, czepiających się lesistych szczytów Apenin — drgał i mienił się w słońcu opalony pas Adriatyku. Na zachód — sfałdowane podgórze, pocięte, jak siatką, sznureczkami szos i węzłami osiedli. Poza nim — sto kilometrów od nas — jak dalekie błyskawice strzelały złote iskry z kopuły bazyliki św. Piotra. Na krańcu horyzontu rozwiewały się mgły nad Morzem Tyrreńskim...

Wyjeliśmy ze skrytki między głazami blaszaną puszkę, w której mieściła się oprawiona w płótno księga. Data, nazwisko, kraj... Najwięcej było tu Włochów, potem Austria, Szwajcaria, Francja, Stany Zjednoczone, Szwecja, Anglia... Przeglądaliśmy uważnie kilkadziesiąt nazwisk — ani jednego Polaka! Wpisaliśmy się, ujęliśmy nazwiska w klamrę i koło nich dużymi, drukowanymi literami napisaliśmy: POLONIA.

— Francesco i Giuseppe wpisali się pod spodem. I również drukowanymi literami — „ITALIA“. A w środku między tymi dwoma słowami i dwoma parami ujętymi w klamry nazwisk dopisaliśmy jeszcze jedno słowo, na które nie było w tej księdze żadnej rubryki — „amici“.



ŻYWIENIE W ALPINIZMIE

(I)

LESZEK NAMYSŁOWSKI

Od Autora: Artykuł stanowi syntezę najnowszycy zdobyczy w dziedzinie żywienia podczas wypraw wysokogórskich oraz prób wyciągnięcia wniosków opartych na sumie doświadczeń wypraw lub autorów odnośnych opracowań. Część materiału (dane z czasopisma „Journal” oraz dotyczące II Polskiej Wyprawy w Andy) udostępnione zostały przez W. H. Paryskiego, któremu na tym miejscu autor składa serdeczne podziękowanie.

Było by raczej pożądanym, aby autorami tego rodzaju opracowań byli ludzie biorący udział w wyprawach wysokogórskich. Tymczasem doświadczenia osobiste autora artykułu ograniczają się tylko do terenu Tatr, Beskidów i Karkonoszy, w okresie zimy i lata. Autor zapoznał się dobrze z warunkami poruszania się w tym terenie nawet podczas bardzo niesprzyjającej pogody, na nartach, pieszo i czasami z liną. Nie brał jednak udziału w żadnej wyprawie wysokogórskiej. Wskazówki zawarte w artykule poruszają zagadnienie żywienia, którego sprawna organizacja, dla dalszych wypraw polskich alpinistów w rozmaite góry świata, może się okazać niezbędna w najbliższych latach.

W tych warunkach autor byłby bardzo rad usłyszeć wypowiedzi krytyczne alpinistów interesujących się tym zagadnieniem. Wskazówki ich i dezycydują mogą być dla opracowań tego rodzaju nad wyraz cenne.¹⁾

Znajomość zasad prawidłowego żywienia oraz ich fizjologicznych podstaw posunęła się znacznie naprzód w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu. Dokonano w tym czasie odkrycia i syntezy wielu witamin, zbliżono się bardziej do poznania głębszych i subtelniejszych funkcji ustroju w zakresie przemiany materii.

¹⁾ Najnowsza praca, oparta na najnowszej literaturze omawiającej zagadnienie żywienia, opatrzona szeregiem tablic, chociaż nie wyczerpuje wszystkich cennych pozycji literatury światowej oraz nie uwzględniła doświadczeń czechosłowackich i naszych z ostatnich obozów, posiada jednak duże znaczenie praktyczne oraz zdaniem Redakcji może być pierwszorzędnym i fachowym wprowadzeniem zainteresowanych czytelników w te zagadnienia. Pożądanym byłoby, aby stała się punktem wyjścia w dyskusji poświęconej zagadnieniu żywienia, której potrzebę uważamy za jak najbardziej na czasie. Warto wskazać również na ważną dla tych zagadnień książkę J. Rivoliera pt.: „Médecine et Montagne”, wyd. w r. 1956 (Arthaud, Masson et Co, Paris), której autor w swej pracy nie uwzględnił — Red.

W oparciu o te zdobycze rozpoczęto dopiero obserwacje nad zależnością między różnymi stanami czynnościowymi organizmu ludzkiego i zwierzęcego, a jakością i ilością niezbędnego dlań pożywienia. Między innymi przeprowadzono wiele doświadczeń nad zależnością między wysiłkiem a zapotrzebowaniem ustroju na poszczególne składniki pożywienia.

Dokonane na tej podstawie liczne próby pozwoliły wykazać, przy jakim rodzaju pożywienia ustroj osiąga maksimum sprawności i wydolności. Zdobyte w ten sposób dane umożliwiły dalsze badania, których celem było uzyskanie dokładnego obrazu przystosowania się organizmu do rozmaitych zmian zachodzących w środowisku zewnętrznym, a zwłaszcza zmian związanych z klimatem. W doświadczeniach tych obserwowano wpływ rozmaitych związków chemicznych wchodzących w skład pożywienia na łatwiejsze przystosowanie się ustroju do otoczenia w ciężkich i trudnych warunkach walki człowieka z siłami przyrody. Do postępu w tej dziedzinie przyczyniły się szczególnie wyniki badań nad racjonalizacją żywienia sił zbrojnych rozmaitych krajów, a zwłaszcza żywienia lotników i oddziałów przeznaczonych do specjalnych zadań, nad żywieniem wypraw polarnych oraz wysokogórskich, w tym głównie himalajskich.

Żywienie podczas wypraw wysokogórskich nie stanowi żadnego problemu tam, gdzie teren usiany jest schroniskami i innymi osadami ludzkimi, a wysokości są niewielkie lub średnie. Na terenie Karpat czy Alp wyprawy takie trwają od kilkunastu godzin do kilku dni najwyżej, w żywieniu zaś na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie wagi żywności, aczkolwiek jej dobór również odgrywa znaczną rolę, zwłaszcza w walce z zimnem.

Wyprawy w tereny wysokogórskie mało jeszcze poznane, których celem jest zdoby-

cie szczytów o znacznej wysokości, w bardzo surowym klimacie, zdala od osiedli ludzkich, stanowią problem specjalny, zwłaszcza w terenie himalajskim. Doświadczenie wielu wypraw angielskich na Everest dowiodło, iż zagadnienie organizacji żywienia podczas takich wypraw jest jednym z zasadniczych warunków powodzenia w czasie ataku szczytowego.

W tym ataku końcowym bierze udział cały organizm. Wszystkie jego układy muszą zdobyć się na maksymalny wysiłek we współdziałaniu, aby zdobyć szczyt. Wysiłek ten nie ma więc charakteru jednostronnego, nie jest to „czysty“ wysiłek mięśniowy, jak w niektórych typach pracy fizycznej. Nie można go oceniać tylko mechanicznie i przeniósć bezpośrednio dane z doświadczeń naukowych nad wysiłkiem fizycznym na teren wysiłku wysokogórskiego, bez szczególnego, krytycznego ich rozważenia. Tam bowiem, gdzie w walce o osiągnięcie celu, a często — o swoje czy cudze życie, bierze udział cała osobowość alpinisty — jego zużycie energii może być znacznie wyższe, niż gdyby je oceniać wnosząc z przejawów wyłącznie wysiłku mięśniowego, zaobserwowanych w laboratorium.

Dodatkowe bowiem zaangażowanie psychiki alpinisty może poprzez ośrodki podkorowe wzmocnić czynność niektórych gruczołów dokrewnych. Współdziałając z maksymalnym wysiłkiem gruczoły te mogą spowodować wyjątkowy wzrost przemiany materii ustroju, zwiększając znacznie straty energetyczne.

Zużyta w codziennym wysiłku energia musi ulec odnowie. Odnowa ta zależna jest przede wszystkim od dowozu energii z zewnątrz w postaci właściwego pożywienia, które w połączeniu z odpowiednim wyczerpaniem może nie tylko wyrównać bardzo znaczne ubytki energii, lecz także utrzymać sprawność i wydolność organizmu na najwyższym poziomie. Drobne a pozór zaniedbania w tym zakresie, jak np.: zbyt mały dowóz wody w stosunku do znacznego jej ubytku w następstwie wzmoczonego wyparowywania przez płuca na dużych wysokościach, może prowadzić do pogorszenia się kondycji alpinisty. Pociąga to za sobą niezdolność do dalszego przebywania na dużych wysokościach, a tym samym eliminację z dalszego udziału w zdobywaniu szczytu.

Nieodpowiedni dobór jakościowy pożywienia — zły czy niesmaczny skład racji przeznaczonych na atak szczytowy, może również prowadzić do załamania się wspinacza i niepowodzenia wyprawy. Zagadnienie to odgrywa bardzo ważną rolę zwłaszcza w wyprawach himalajskich, gdzie możliwość przebywania na dużych wysokościach ogranicza

się jedynie do paru dni, aklimatyzacja bowiem sięga najwyżej do 6,5—7 tysięcy metrów.

W większości krajów przyjęte są ogólne, podstawowe, normy żywienia ludności, wytyczne granicami wieku, płci, wagi i rodzaju wykonywanej pracy.

Żywienie alpinisty nie jest ujęte w żadne normy oficjalne. Nie można więc korzystać z gotowych danych organizując żywienie jakiejś wyprawy wysokogórskiej tak, jak się to robi np. z żywnością ciężko pracujących (np. w przemyśle węglowym czy w jednostkach wojskowych). Różnorodność wysiłku, jaki podejmują alpinisci, olbrzymia skala jego wahań w zależności od warunków geograficznych i klimatycznych, wymaga indywidualnego podejścia do normowania żywienia w każdym poszczególnym wypadku. Jako punkt wyjścia służyć mogą doświadczenia zebrane z odbytych już wypraw wysokogórskich.

Jakie czynniki i warunki wymagają modyfikacji żywienia? Na plan pierwszy wysuwa się tutaj wpływ wysokości nad poziomem morza oraz zimna.

Oba te czynniki działają na ogół równolegle, temperatura bowiem powietrza obniża się ze wzrostem wysokości. Nastęstwa ich działania na organizm zależą jednak przede wszystkim od czasu ich oddziaływania. Ich wpływ wzmocni się w zależności od siły wiatru, wilgotności powietrza, stopnia jego jonizacji, wreszcie od opadów atmosferycznych.

Wpływ wysokości można usystematyzować zależnie od tego czy są to²⁾:

- 1) wysokości niskie i średnie — do 5000 m — gdzie ludzie zdrowi i sprawni aklimatyzują się szybko w miarę podchodzenia; nie wymagają one żadnych specjalnych modyfikacji w zwykłym sposobie żywienia.
- 2) Wysokości znaczne — między 5000 a 7000 m — gdzie już występują, omówione poniżej, zaburzenia prawidłowych funkcji ustroju.
- 3) Wysokości bardzo znaczne — powyżej 7000 m — na których zaburzenia funkcji ustroju ulegają wyraźnemu zaakcentowaniu (na pierwszy plan wysuwa się tutaj znaczne odwodnienie ustroju, spadek łaknienia i wstręt do spożywania niektórych pokarmów).

W miarę wzrostu wysokości nasilają się objawy niedotlenienia ustroju z powodu zmniejszonego ciśnienia atmosferycznego i

²⁾ Rivolier J.: Froid et altitude dans le rapport avec l'alimentation. *Annal. Nutr. Aliment.* 1955, vol. IX, Nr-3, str. 135—179.

obniżenia ciśnienia parcjalnego tlenu w pęcherzykach płucnych. Z innych zaburzeń występujących u alpinistów obserwowano także przedłużenie czasu opróżnienia się przewodu pokarmowego, zmniejszenie wydzielania śliny i kwasu solnego w żołądku. W związku z tym zapewne, apetyt często zawodzi na dużych wysokościach, ludzie łatwo grymaszą i mają rozmaite zachcianki, często bardzo oryginalne.

Cukier np. wydaje się na dużych wysokościach mniej słodki, wobec czego do słodzenia używa się go znacznie więcej. Hillary i Tensing przez większość nocy spędzonej na wysokości 8500 m popijali herbatę z mlekiem skondensowanym dodając do każdej porcji po trzy do czterech łyżeczek deserowych (10.0 g — 'każda' cukru³⁾). Nawet u ludzi nie mających ochoty na cukier na poziomie morza, zwiększa się apetyt i zapotrzebowanie na słodczyce w miarę wznoszenia się w górę⁴⁾.

Niedotlenienie pociąga za sobą szereg zmian w metabolizmie, których wyrazem jest m. in.: utrudnione spalanie tłuszczów, wolniej wykorzystywanych przez ustroj dla celów energetycznych. W przeciwieństwie do tego ulega wzmoczeniu zapotrzebowanie na węglowodany, z których bezpośrednio da się uzyskać energię ruchową. W ten sposób stosunek podstawowych składników pożywienia białek, tłuszczów i węglowodanów — w racji żywnościowej wysokogórskiej — podlega znacznym przesunięciom w porównaniu ze składem przeciętnych racji pokarmowych.

Zwiększenie wysokości wznaga znacznie stopień wysiłku pociągając za sobą również wzrost wydatku energetycznego. Wzrost ten zależy nie tylko od wpływu wysokości, lecz także od działania zimna. Niska bowiem temperatura pobudza termoregulację ustroju wznagając produkcję ciepła, do wytworzenia którego niezbędne jest zwiększenie dowozu pożywienia. Zapotrzebowanie więc energetyczne ustroju rośnie.

Przemiana podstawowa u człowieka nie ulega wprawdzie zmianom pod wpływem zimna, natomiast produkcja ciepła przez organizm wznaga się bardzo znacznie mogą przewyższyć 4—5 krotnie wartość wyjściową podstawowej przemiany materii.

Poza zwiększeniem zapotrzebowania energetycznego na składniki podstawowe pożywienia, obserwuje się pod wpływem zimna wyraźne zwiększenie pragnienia, spowodowanego wzmoczoną w tych warunkach diurezą, wyciekami z nosa i łzawieniem oczu, a także zwiększoną perspiracją lub nawet poceniem się w następstwie wysiłku. W związku z tym podkreśla się możliwość utraty niektórych soli mineralnych

i witamin, aczkolwiek różni autorzy nie są zgodni co do istotnej wielkości tych strat oraz ich znaczenia dla organizmu.

Oprócz wpływu czynników atmosferycznych oraz wysokości, których wspólny wpływ sprowadza się do oddziaływania zimna, w zagadnieniu żywienia należy uwzględnić jeszcze rodzaj wysiłku.

Wysiłek w wyprawach wysokogórskich ma na ogół charakter dwojaki:

1) codzienny wysiłek średniego stopnia w ciągu wielu tygodni,

2) wysiłek wybitnie intensywny, kilkogodzinny, wyjątkowo parodniowy.

Wydatek energetyczny w obu tych wysiłkach musi być zrównoważony nie tylko racjonalnym wypoczynkiem, lecz także dozorem odpowiedniego pożywienia różniącego się składem w obu wymienionych wypadkach.

Poza sprawą właściwego żywienia, której szczegóły będą omówione nieco później, wynik walki ustroju z niekorzystnymi warunkami środowiska zależy w znacznej mierze od adaptacji i aklimatyzacji, uzyskiwanych tym łatwiej, im dokładniejszy trening przeprowadzono dla ich osiągnięcia.

Zaburzenia wywołane spadkiem ciśnienia atmosferycznego stara się organizm do pewnej granicy wyrównać przez przyspieszenie krążenia krwi (drogą wzmoczenia częstości skurczów serca i zwiększenia jego objętości wyrzutowej, zwiększenia zawartości hemoglobiny w krwinkach czerwonych i wzrostu ich liczby) oraz przez przyspieszenie częstości oddechów.

Dopiero jednak sztuczny dowóz tlenu i skrócenie czasu przebywania na dużych wysokościach zmniejszają wyraźnie skutki niedotlenienia⁵⁾ — czego dowiodły doświadczenia brytyjskie w ostatniej wyprawie Everestowskiej w roku 1953, a zapoczątkowane przez Fincha w 1922 roku.

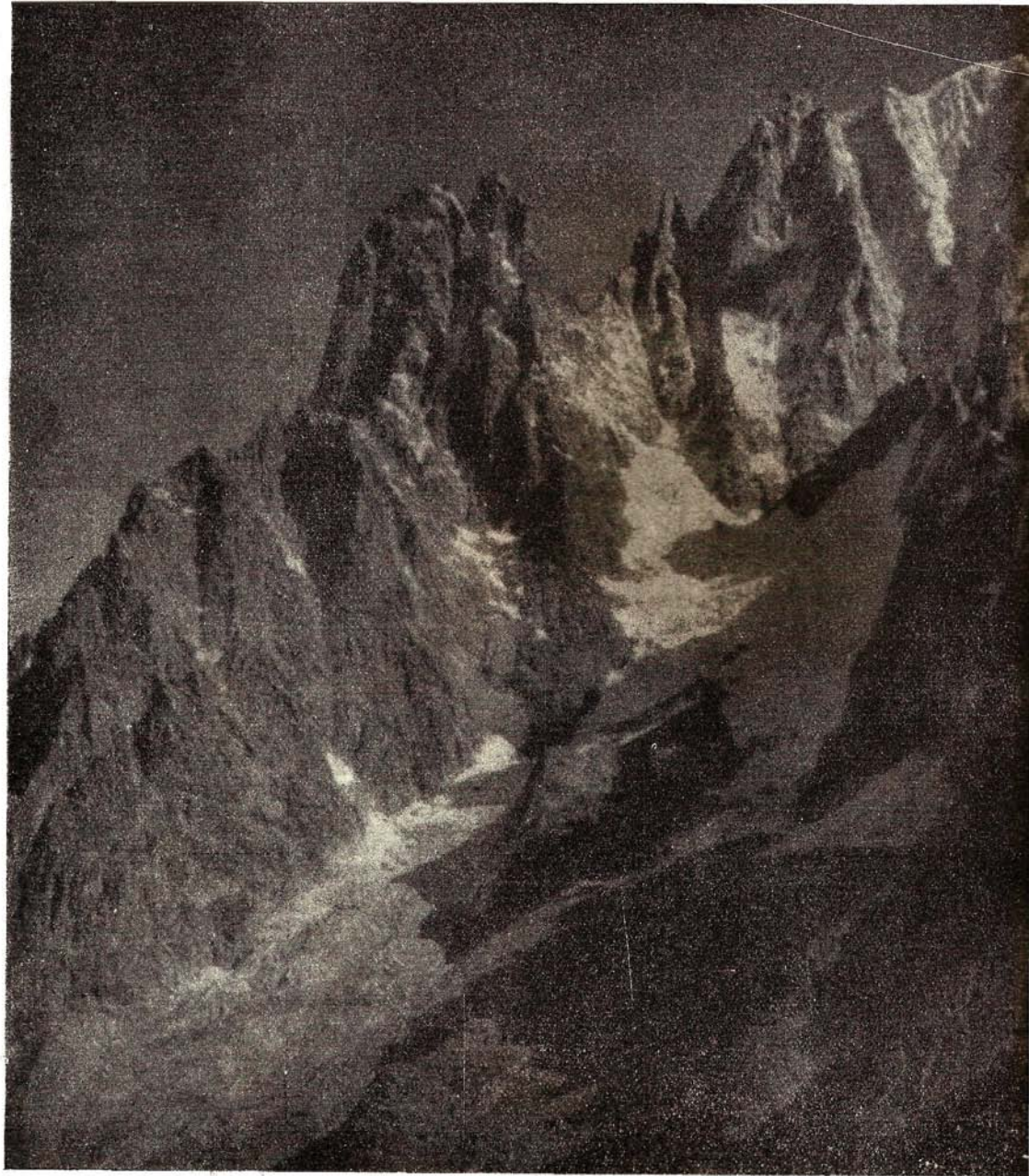
Obrona przed zimnem polega przede wszystkim na zabezpieczeniu się przez odpowiedni ubiór oraz warunki obozowania, a w dalszym etapie na wykorzystaniu termoregulacji organizmu, w której decydującą rolę odgrywa żywienie.

Uwzględniając zatem wszystkie, wyżej wymienione czynniki, w zagadnieniu żywienia wysuwa się na plan pierwszy problem wzrostu zapotrzebowania energetycznego. Wysokość jego zależy przede wszystkim od stopnia aktywności ruchowej oraz od zabezpieczenia przed wspomnianymi już wpływami zewnętrznymi. Zapotrzebowanie to ocenia się w kaloriach.

³⁾ Hunt J.: The Ascent of Everest. London 1953.

⁴⁾ Rivolier J.: Froid et altitude dans le rapport avec l'alimentation.

⁵⁾ Eckman M.: Effect of diet on altitude tolerance. J. Aviation Medicine, 1945, vol. 16, Nr 5, str. 328 oraz Rivolier J.: Froid et altitude dans le rapport... itd.



AIGUILLE DU DRU (3754 m) I AIGUILLE VERTE (4102 m) OD STRONY ŁODOWCA CHARPOUA.

Liczby charakteryzujące dzienne zapotrzebowanie energetyczne ludzi przebywających w warunkach polarnych lub do nich zbliżonych, różnią się bardzo według doniesień rozmaitych autorów⁶⁾.

Johnson i Kark — 4900 kal. dla grup ludzi przebywających w temp. -40° .

Kark i Croome — 4400 kal. dla wyprawy Musk-Ox, z 1948 r.

Gordon Hayes — 4800 kal. dla wyprawy Scotta, z 1908 r.

Coman — 5400 kal. dla wyprawy Byrda, z 1939—1941 r.

Kark i Creary — 5000 kal. dla jednostek wojskowych, przy czym najlepszą okazała się racja zawie-



A. Wala

rająca 121 g białek, 276 g tłuszczów i 390 g węglowodanów.

Wydatek kaloryczny, związany z wysiłkiem, według materiałów wyprawy brytyjskiej na Cho-Oyu w 1952 r., wynosił 510 kal. na godzinę marszu i 560 kal. na godzinę wspinaczki, co przy 8—10 godzinnym wy-

siłku dziennym wynosi od 4000 do 5500 kal., które muszą być uzupełnione z pożywienia⁷⁾.

Opierając się na badaniach przeprowadzonych w latach 1950—1952, Rodahl⁸⁾ podaje następujące zapotrzebowanie energetyczne dla ludzi przebywających w warunkach polarnych (temperatura styczniowa —49°C): dla białych 3000 do 3500 kal. dziennie, dla Eskimosów 2700 do 3100 kal. Skład racji dla białych biorących udział w doświadczeniu nie różnił się prawie zupełnie od tych samych racji, przeznaczonych dla nich w strefach umiarkowanych. Bardzo szczegółowe i krytycznie opracowane wyniki badań Rodahla oceniają zapotrzebowanie energetyczne w powyższych warunkach znacznie niżej, aniżeli pozostali autorzy.

Należy stwierdzić, że obserwacje na ludziach nie potwierdziły przypuszczeń, iż w warunkach wyżej podanych winny przeważać w pożywieniu tłuszcze albo też według innych autorów węglowodany. Wydawałoby się zresztą bardziej logicznym zachować raczej — w rozsądnych granicach — dotychczasowe przyzwyyczajenia odżywcze w grupach ludzi, poddanych powyższym warunkom. Adaptacja bowiem przebiega wówczas sprawniej.

W związku ze specyficznym dynamicznym działaniem białka, którego zwiększenie w pożywieniu mogłoby ewentualnie dać lepszy efekt cieplny wzmagając wytrzymałość na zimno, przeprowadzono kilka próbnych obserwacji. Nie wykazały one spodziewanego rezultatu, dodatkowy bowiem efekt cieplny uzyskany w następstwie przemiany białek, zużywał się całkowicie na pokrycie termogenezy i w niskiej temperaturze nie obserwowano go zupełnie⁹⁾.

Nie stwierdza się także przekonującej zależności między podawaniem zwiększonych dawek witamin, a wzrostem wytrzymałości na zimno u człowieka¹⁰⁾. Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć, że w wyprawach wysokogórskich trwających po kilka tygodni czy miesięcy, należy się liczyć z obniżeniem zawartości witaminy C w u-

6) Rivolier J.: Froid et altitude dans le rapport avec l'alimentation.

7) Pugh L. G. C. E.: Food consumption and energy balance at various altitudes. *Journal*, 1954, vol. 1, Nr 2, str. 75—80 oraz Pugh L. G. C. E.: Himalayan rations with special reference to the 1953 expedition to Mount Everest. *Proc. Nutr. Soc.* 1954, vol 13, Nr 1, str. 60—69.

8) Rodahl K.: Nutritional requirements in cold climates. *J. Nutrition*, 1954, vol. 53, Nr 4, str. 575—588.

9) Zob.: Glickman N., Mitchell H. H.: The total specific dynamic action of high protein and high carbohydrate diets on a human subjects. *J. Nutrition*, 1948, vol. 36, Nr 1, str. 41—57.

10) Zob.: Rivolier J.: Froid et altitude dans le rapport avec l'alimentation...

stroju, w następstwie długotrwałego wysiłku¹¹⁾. Ponieważ nie ma możliwości dostarczenia jej w produktach świeżych, należy braki te uzupełnić podawaniem witaminy C syntetycznej lub w postaci soków z puszek. Nie wiadomo też dokładnie, w jakim stopniu wysiłek, zwłaszcza długotrwały, wpływa na spadek zawartości w ustroju innych witamin, zwiększając w ten sposób ich zapotrzebowanie podczas trwania wyprawy.

Próby zwalczania zaburzeń wywołanych wzrostem wysokości doprowadziły do wniosku, że przewaga węglowodanów w pożywieniu zapobiega ich powstawaniu¹²⁾. Z innych doświadczeń wiadomo, iż zwiększone spożycie węglowodanów wymaga zwiększenia dowozu witaminy B₁ biorącej udział w przemianie cukrów, a także witaminy B₂. Niektórzy obserwowali także korzystny wpływ kwasu askorbinowego na tolerancję wysokości, a w badaniach na zwierzętach doświadczalnych także innych witamin, czego nie obserwowano u ludzi. U kandydatów do szkół lotniczych RAF uzyskano wyraźną poprawę sprawności, badaną przy pomocy odpowiednich testów, po podaniu witaminy PP¹³⁾.

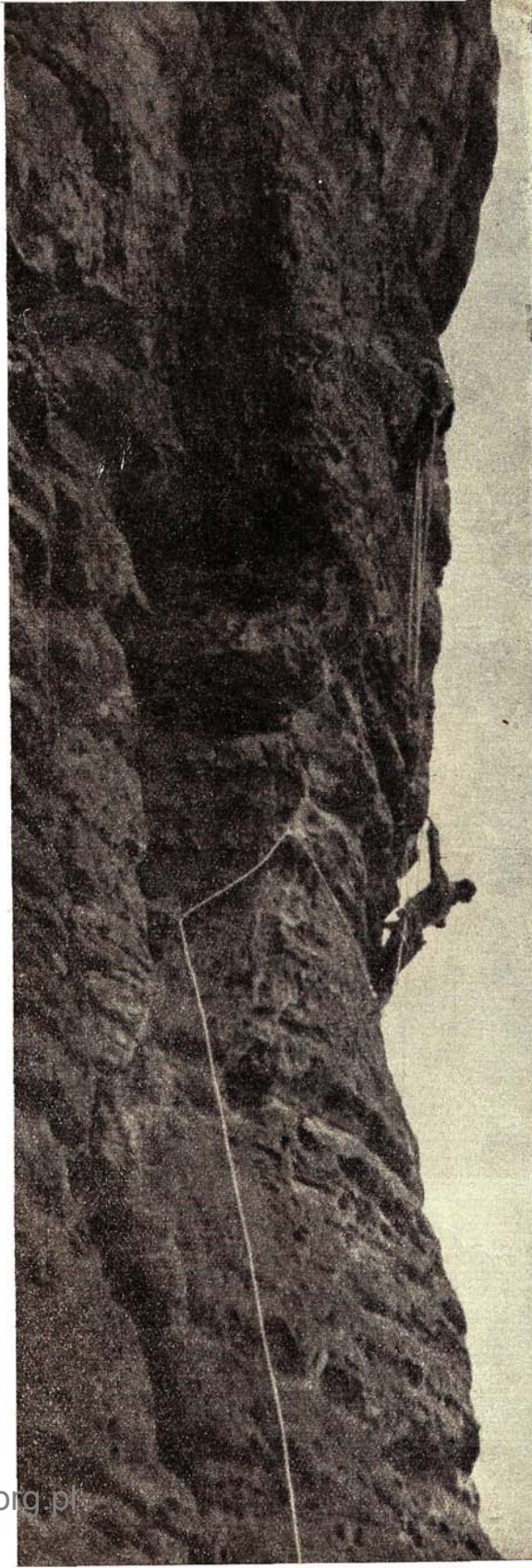
Podobnie jednak, jak w doświadczeniach ze zwalczaniem zimna, nie stwierdzono u ludzi ani zwiększenia sprawności, ani też wzrostu tolerancji na wysokość w następstwie podawania zwiększonych dawek witamin (w obserwacjach na lotniskach oraz w warunkach polarnych)¹⁴⁾.

11) Namysłowski L.: Spostrzeżenia nad zapotrzebowaniem na witaminę u sportowców w zależności od wysiłku fizycznego. Rocznik P. Z. N. 1956, Nr 2, str. 97—122 oraz tegoż autora: „W poszukiwaniu zależności między witaminą C a wysiłkiem“. Kultura Fizyczna, 1956, Nr 6, str. 455—466.

12) Porówn.: Rodahl K.: Nutritional requirements in cold climates. J. Nutrition. 1954, vol. 53, Nr 4, str. 575—588.

13) Porówn.: Frankau M.: Acceleration of coordinated muscular effort by nicotinamide. Brit. Med. J. 1942, Nr 4323, str. 601—603.

14) Ciąg dalszy pracy dr Namysłowskiego zostanie wydrukowany w następnym numerze; tu korzystając z okazji, chcemy zwrócić uwagę na książkę Mojmira Ticháka: „Zimní horolezecké táboreni“ (Státní televizní nakladatelství — Praha 1955), w której jeden z krótszych rozdziałów poświęcony jest zagadnieniu żywienia. Autor traktuje to zagadnienie pod kątem widzenia potrzeb zimowego taternictwa, a szczególnie organizacji zimowych obozów. Z tego powodu jego uwagi mają duże znaczenie praktyczne, a dołączone tablice rozdziału dziennego produktów jak i tablica wartości kalorycznych najpowszechniej używanych produktów z podziałem na zawartości węglowodanów, białek i tłuszczów na 100 g porcji, stanowi cenne uzupełnienie. Dla zimowej działalności wspinaaczy połączonej z obozowaniem autor podaje zapotrzebowanie na 5000—6000 kal. na dzień. Zakłada, że wspinacz odżywia się 2 razy dziennie gotowaną strawą i zwraca uwagę na poważną rolę odpowiedniego odżywiania się w trakcie samej wspinaczki. Na koniec wiele miejsca poświęca samej organizacji przygotowywania potraw w obozie i sprawom higieny — Red.



DZIWIY NAD ŁABĄ

Z. Zagrocki

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

Na granicy niemiecko-czechosłowackiej Łaba przebija się głębokim uroczym przełomem przez otaczające ją piaskowcowe skały o najrozmaitszych, przedziwnych kształtach. Czasami przypominają one krajobrazy na renesansowych płótnach, lub dekoracje gór w prowincjonalnym teatrze. Są tu również płaskowgórza o pionowych, zerwanych ścianach; jak Lilienstein, Pfafenstein czy Königstein i pomimo, że ich ściany dają możliwości najdłuższych, nieraz kilkukilometrycznych dróg, nie są one wykorzystywane. W Saskiej Szwajcarii nie chodzi się po górach, na które można się dostać turystycznie.

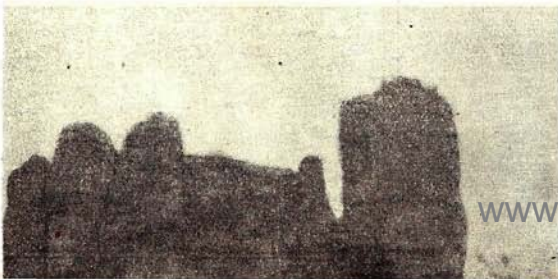
Nie mogę powiedzieć, żebym w przeciągu dwóch tygodni, które spędziliśmy¹⁾ w skałkach koło Drezna, zdołał uchwycić całą specyfikę nadłabskiego „Alpinizmu“. Nie-

¹⁾ Są to osobiste wrażenia autora z pobytu w skałkach piaskowcowych nad Łabą koło Drezna, które polscy taternicy odwiedzili w kilku turnusach w lecie 1956 r., w ramach wymiany turystycznej z NRD, organizowanej przez PTTK. W wyniku tej wymiany kilka grup wspinaczy niemieckich odwiedziło w tym czasie Tatry Polskie.

mniej to, co zobaczyłem i usłyszałem, wystarczyło zupełnie, aby się świetnie ubawić. Być może w ten sam sposób, jak się bawi Zulus obracając bezmyślnie tarczę telefonu i dmuchając w słuchawkę. Zresztą zobaczycie sami.

Bo na przykład. Tradycja nakazuje, aby każdą drogę robić ściśle tak, jak pierwszy zdobywca. Nie, nie tylko samą drogę. Również zejście trzeba po nim naśladować. Konkretnie jeżeli pierwszy zdobywca z danej skałki schodził — należy schodzić. Jeżeli zjeżdżał — zjeżdżać. Inaczej jest nie „fair“. Na nasze pytanie: co robić o ile pierwszy zdobywca spadał, dano odpowiedź wymijającą. Ale z tym wszystkim można się jeszcze pogodzić. Dużo gorzej jest z asekuracją. Już po kilku dniach wspinania doszliśmy do wniosku, że drogi są sklasyfikowane nie tyle według ich trudności, ile według stopnia bezpieczeństwa, a raczej niebezpieczeństwa. Takie na przykład siódemki (najwyższy stopień trudności) charakteryzują się tym, że odpadnięcie jednego wspinacza powoduje natychmiastową śmierć obydwu. Na szóstkach już są szanse, że jeden wyjdzie w takim wypadku żywy.

Prawo do bicia haków na drodze ma tylko pierwszy zdobywca. Ma on ze sobą garnek z cementem i od razu hak utwierdza w skale na zawsze. To nie jest takie głupie, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało. Skałki są zbudowane z piaskowca i gdyby tak ciągle haki w nie wbijać i wybijając, pewnie by się już rozsypały. Przy-



kre jest co innego. Otóż trzeba być nie lada „kozakiem“, żeby w niewygodnym miejscu windować do góry taki garnek z cementem i bawić się w zamurowywanie haka. Toteż na drogach jest haków bardzo mało, przeciętnie po jednym na dwa wyciągi. Był podobno taki wspinacz, co na swojej dwuwyciągowej drodze wbił pięć haków. Potem zebrała się specjalna komisja i dwa z nich wybito. Nie rozumiem nota bene, daczego? Każde żelazo w ścianie jest u nich trefne i nie wolno się go łapać. Ba, bezpośrednio założenie karabinka na hak też już jest niesportowe. Trzeba najpierw założyć pętlę, a na nią dopiero karabinek. Poza tym jak ktoś się boi spaść, to używa tych pętli. Pcha się je w najrozmaitsze dziury w skałe, z których najczęściej wypadają. Pętli chwycić nie wolno.

Z tym chwytaniem to też jest przedziwne nabożeństwo. Podchodzi taki wspinacz do haka i zakłada przy nim stanowisko asekuracyjne, przez cały czas zachowuje się tak, jakby hak był włączony do sieci wysokiego napięcia. W końcu z westchnieniem ulgi siada w pętli zawieszony na tym samym „świętym“ kawałku żelaza.

Przepisy odpowiadają również wyczerpująco na pytanie czego się wolno chwycić, a czego nie. Otóż jako chwytów i stopni wolno używać jedynie dzieła matki natury. Łapanie się za to, co zostało zrobione przez człowieka „nie dotyczy gentelmana“. Na przykład takie drzewo. I już dwa aspekty. Jeżeli rośnie sobie w ścianie, to proszę bardzo; chwycić się, stawać na nim ile się komu podoba. Co innego jeśli tkwi ono pod ścianą. Przebycie dolnych części drogi przy

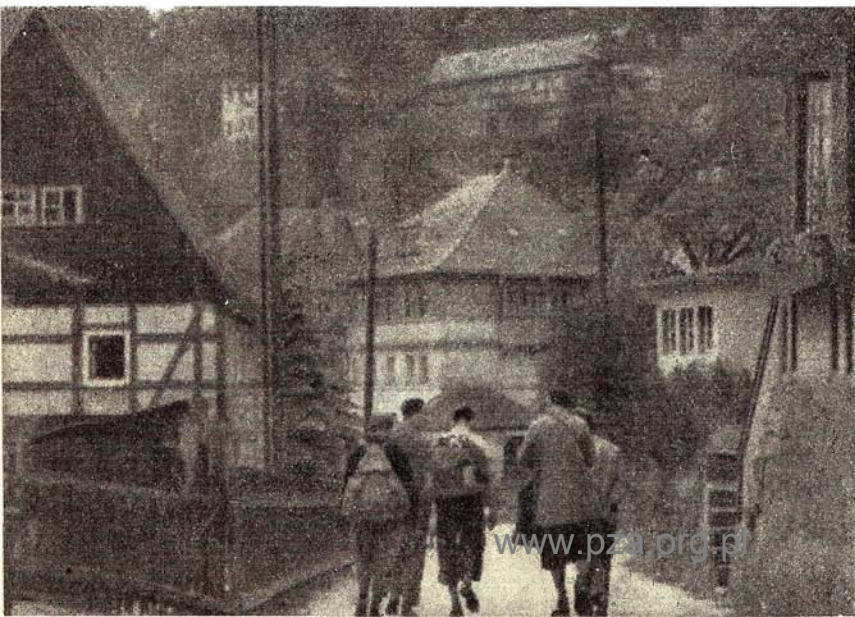
jego pomocy jest nie „fair“. To drzewo bowiem mogło już być posadzone przez człowieka.

Jedyny wyłom w zakazie używania wytworów ludzkich stanowi sam człowiek. Żywa drabina jest tam bowiem używana często i chętnie. I to nie taka szczątkowa jak u nas. Tam stosuje się żywe drabiny złożone nieraz z trzech kondygnacji. Można i w ten sposób, tym bardziej, kiedy chodzi się boso. Myśmy też tak próbowali, ale to zbyt pobudzało do śmiechu, co jest zupełnie zrozumiałe, gdyż piaskowiec jest bardzo szorstki.

Z początku traktowano nas z góry, bo baliśmy się chodzić bez haków, niemniej po pewnym czasie nauczyliśmy się jako tako obchodzić z pętlami i zrobiliśmy w samodzielnym polskim zespole kilka wejść. Niemniej chyba ani jednego, które by nie zgrzeszyło przeciwko któremuś z licznych przykazań. A to jakiś wariant w granicach trzech metrów, a to zejście nie takie, a to w końcu przejście klasyczne zamiast żywą drabiną. No cóż, trudno się jest odzwyczaić od własnych metod wspinania.

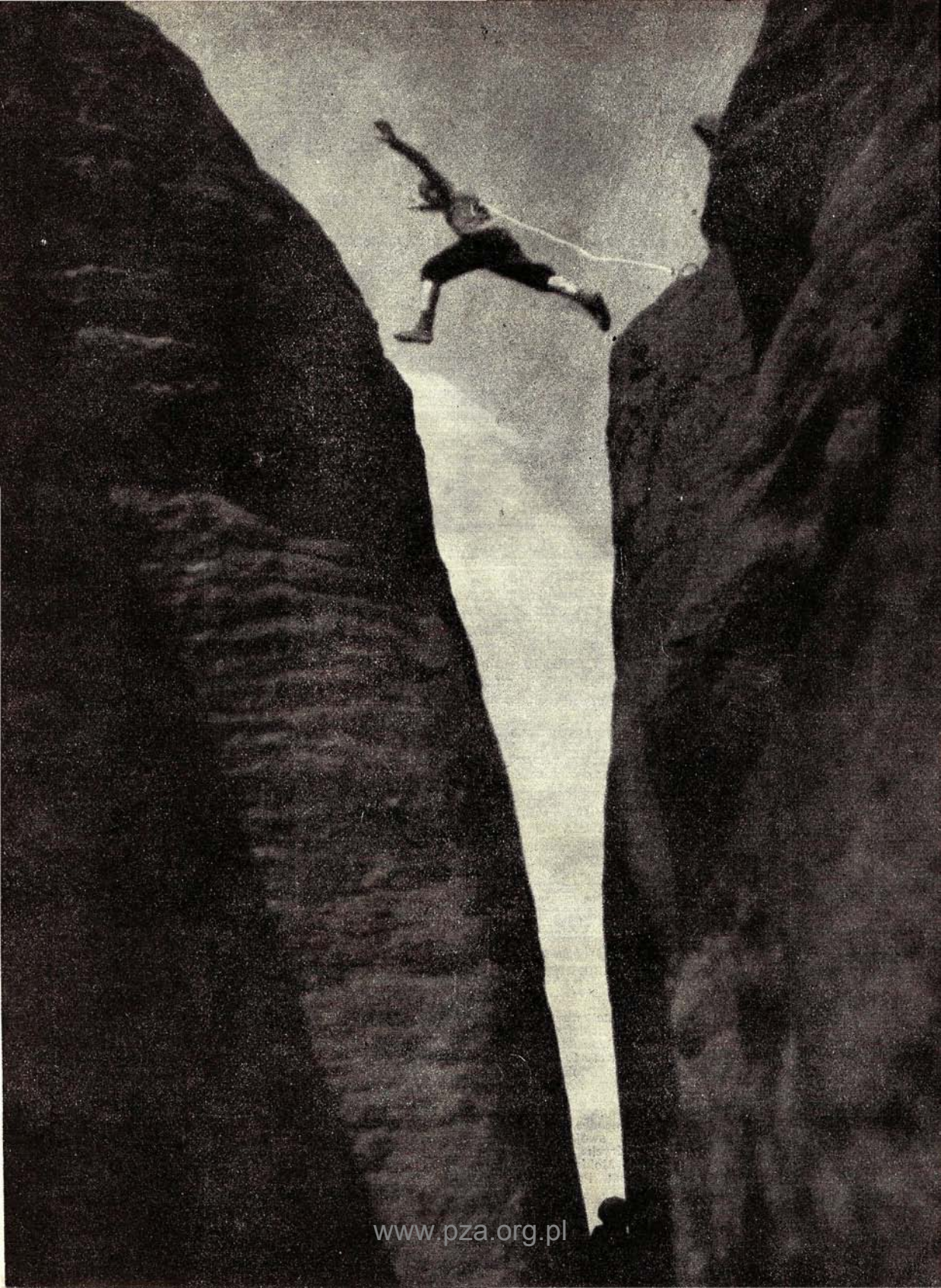
Gospodarze — wychowani zresztą z dala od tzw. wielkiego alpinizmu lubili się jednak chwalić nazwiskami znanych alpinistów, którzy przyjeżdżali podobno nad Łabę. Był tam nawet kiedyś i Herman Buhl, ale miał się wyrazić, że nie jest samobójcą i wspiął się tylko „na drugiego“. To, że myśmy nie wstąpili w ślady sławnego Austriaka, należy złożyć jedynie na karb narodowych cech Polaków.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI



NIERAZ POTRZEBA DOKONAĆ TAKŻE TAKIEGO SKOKU.
Z. Łagocki

POWROT ZE WSPINACZKI.
Z. Łagocki



O Bucegi i alpinizmie rumuńskim

ARNO PUŠKÁŠ

Śmiało rzec można, że wspinaczka letnia w Rumunii w chwili obecnej ma charakter akrobatyczny.

Nie znam, niestety, dziejów rozwoju sportu wysokogórskiego w Karpatach Rumuńskich, ale z tych kilku bardzo miłych dni i niekończących się dyskusji przeciw ten właśnie mogłem powziąć sąd, tym bardziej, że i praktycznie miałem możliwość stwierdzić istnienie tylko tego wąskiego zakresu wspinaczki. Widziałem też sporą połąć terenu, którego charakter, ze względu na niezwykłą i odrębną od innych gór formę, wrył mi się mocno w pamięć. Zaznaczam, że nie chcę tu robić jakiejś analizy, ani też polemizować z tym czy owym. Chcę tylko dać jasny obraz o istniejącej sytuacji w górach Bucegi (czyt.: Buczedzi), gdyż tam tylko się wspiąłem.

Kilka jest przyczyn, dla których alpinizm rumuński doszedł, że się tak wyrażę, do pewnej lokalnej skrajności.

Inny jest tu charakter alpinizmu, inny rodzaj gór, ścian i w ogóle dróg wspinaczkowych. Dalej to klasyfikacja trudności, do oceny której używa się rosyjskiej skali I-AB do V-AB zamiast skali Welzenbacha I-VI. Istotnym czynnikiem jest tu pogląd na zmianę stopnia trudności drogi. Jak tylko padnie jakaś ściana dotąd powszechnie uznawana za najtrudniejszą, to automatycznie obniża się stopień trudności dróg pozostałych. Jeszcze raz podkreślam, że sprawy, o któ-

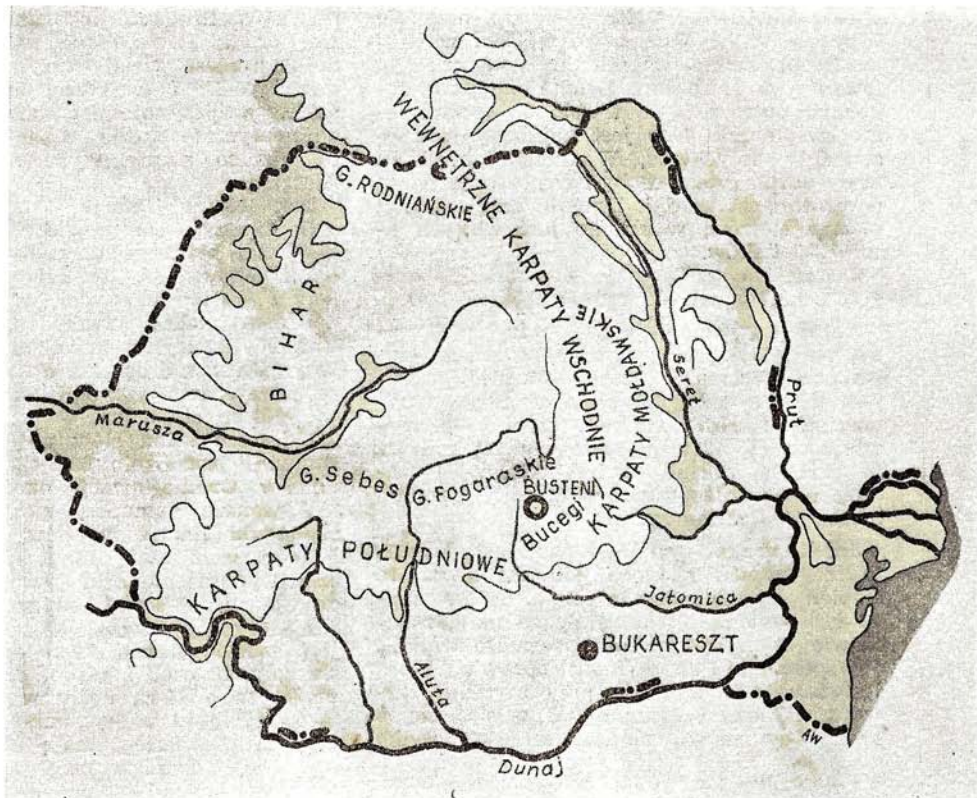
rych tu będę pisał, odnoszą się zasadniczo do wspinaczki letniej.

Ale idźmy po kolei. Długość całych Karpat Rumuńskich,¹⁾ które ciągną się aż od Rusi Zakarpackiej, wynosi około 700 km. Grupa Bucegi znajdująca się na północ od Bukaresztu o około 130 km (stacja dojazdowa pociągów pośpiesznych Buszteni), jest mniej więcej takim masywem, jak nasze Tatry Wysokie. Najwyższy szczyt, Omul, 2513 m, jest łatwo turystycznie dostępny i zbudowano na nim schronisko. I choć miejscami występuje czysty wapień jak np. w okolicy Pesztera, przede wszystkim w formie turni, to głównie jednak trasy wspinaczkowe znajdują się w terenie, zbudowanym ze zlepieńca (konglomeratu). Robi on na patrzającym wrażenie zbombardowanego betonu. Szczyty dostępne jedynie wspinaczkowo w naszym rozumieniu, tu nie istnieją, przynajmniej na tym odcinku. Szczyty są łatwo turystycznie dostępne, tak mniej więcej jak nasza Rakuska Czuba. Oprócz tego tworzy zlepieniec samodzielne turnie albo stojące całkiem samotnie, albo należące do jakiejś ściany, z którą połączone są szerszą lub węższą granią.

Gdzie się zatem dostaniemy po skończonej wspinaczce? W większości wypadków oczywiście na skraj wielkiego, tego lub innego płaskowyzu. Po nim trwa w nieskończoność marsz aż do miejsca, w którym droga nagle opada w dolinę. Z osobno stojących turni trzeba znów zjeżdżać na linie, czasami nawet i do dziesięciu długości liny dość skomplikowanym terenem.

Graniówek jest bardzo mało, a i te składają się z całego szeregu odcinków ścianowych. Przeważają ściany i krawędzie. Istnieją też zleby, bardzo strome, a także ekspozowane kominki. Dla wszystkich wspinaczek typowa jest duża ekspozycja. Podejścia pod ściany są wspinaczkowe, ani jedno nie prowadzi terenem turystycznym. Są mię-

1) Karpaty Rumuńskie określane również Karpatai Wschodnimi, dzielą się na następujące regiony naturalne: Wewnętrzne Karpaty Wschodnie z masywem o charakterze alpejskim Gór Rodniańskich (2305 m), Zewnętrzne Fliszowe Karpaty Mołdawskie, Karpaty Południowe (częściej nazywane Alpami Transylwańskimi, Masyw Biharu i Wyżyna Siedmiogrodzka. Grupa górską Bucegi, zbudowana ze zlepieńców kredowych, stanowi pd.-zach. kraniec Karpat Mołdawskich, które tutaj osiagają swoją maksymalną wysokość ok. 2500 m. W niektórych atlasach, gdzie nie wydzielono strefy Karpat Mołdawskich, grupa Bucegi¹⁾ zaliczana jest do Karpat Południowych. — Przyp. Red.



dzy nimi i takie, które sięgają trudności Zlebu Komarnickiego na Małym Lodowym. Pokonuje się je bez wiązania liną. Nie można powiedzieć, by były specjalnie długie. Ale i zejścia są ich wiernym powtórzeniem. W większości wypadków są bardzo strome, trawiaste, często przeważa w nich teren wspinaczkowy i niebezpieczne z powodu ruchomych kamieni.

Wszystkie drogi wspinaczkowe mają haki wbite na stałe. Miejscami — zgodziliśmy się na to wszyscy — jest ich aż za wiele, miejscami zaś za mało. Nasi przyjaciele rumuńscy tłumaczyli to tym, że po pierwszym przejściu, w którym wszystkie haki się zostawia, inni wspinacze w czasie następnych przejść wbijają dalsze haki, niektórzy znów je wybijają.

Pierwszego przejścia, w odróżnieniu od naszych, dokonuje się w ten sposób, że dwójka wspinaczy, a czasem więcej, wspina się z wielką ilością haków; gdy je wszystkie powbijają, wycofują się przy pomocy zjazdu na linie z rozpoczętej drogi. Niekiedy aż po tygodniach, ba — czasami nawet po miesiącach przystępują do dalszego pokonywania drogi czy raczej dokładnie do wbijania haków.

Kiedy liczne odcinki tych samych dróg wspinaczkowych biegną całkiem gładką ścianą, przez którą ciągnie się tylko szczelina węższa od ręki człowieka, postępują w następujący sposób. W terenie takim używają rur, podobnych do wodociągowych, o różnej średnicy i długości. Każda rura przewiercona jest w dwóch miejscach i posiada przymocowane kółko. Pełni ona funkcję naszego haka zjazdowego.

Konieczność wbijania haków na stałe uzasadnia się kruchością terenu.

Większość wspinaczek dokonują przy pomocy techniki dwulinowej, chętnie też chodzą trójkami i także raczej stosują „podciągnięcie“ do haka, aniżeli używanie stopni pomocniczych. Na wspinaczki (mam na myśli powtórzenia) biorą ze sobą mnóstwo karabinków i tylko kilka haków, no i oczywiście młotki. Wspinają się zawsze w trzewiczkach manszonowych (o zbitej filcowej podeszwie) i nasze wspinanie się w wibracjach na wszystkich drogach wzbudziło podziw i zainteresowanie.

Jako ciekawostkę wspomnę o jednej, uważanej przez nich za najtrudniejszą, drodze wspinaczkowej nazywającej się Fisura Albastra (Niebieska Rysa). Próby zdobycia

trwały około 5 lat. Za pierwsze przejście liczy się to, w którym po wejściu w drogę i biwakach w ścianie skończyli ją, trwało ono sześć dni. Drugie przejście dokonane przez dwójkę trwało 38 godzin samej wspinaczki i to jest najlepszy czas osiągnięty dotychczas. W trzecim przejściu brali udział cztery osoby i wspinaczka trwała prawie cztery dni. Długość drogi wynosi pięćset metrów, w ścianie jest wbitych około 200 haków.

Jeszcze na zakończenie wspomnę, że długość ścian wynosi od 300 do 500 metrów.

Najnieprzyjemniejsze wrażenie przed samą wspinaczką daje ci świadomość, że stoisz przed ścianą, o której słyszałeś już, że jest taka a taka. Mówiono ci też o trudnościach i określono ich stopień — powiedzmy IV-A, a po przejściu stwierdzisz, że to była VI lub co najmniej V-VI według naszej klasyfikacji. Jak to jest zatem możliwe? Całkiem proste.

Jeżeli droga wspinaczkowa jest krótka, to ma stopień niski, a jak jest długa, to stopień jej trudności wzrasta. Nasza znana i osławiona piątkowa Spąga mająca za ledwie 45 m byłaby może — może trójką...

Wspomnę tu i o innej sprawie, która jest zawsze i wszędzie przy szybkim rozwoju alpinizmu aktualna. I u nas się o tym wiele mówi, ale na szczęście, tylko

mówi. W Rumunii dokonano przejścia nowej drogi. Powszechnie uznaje się ją za najtrudniejszą z najwyższym stopniem trudności V-B. I wszystkie drogi dotychczasowe, a przynajmniej pewna ich część, automatycznie spada w stopniach. I choć to nie są częste wypadki, przecież się zdarzają.

Tak jest w lecie.

O zimie wiele powiedzieć nie umiem, skoro jej bezpośrednio nie widziałem, chyba z opowiadań, tłumaczenia szczegółów, no i z prostej obserwacji w terenie.

Jestem mocno przekonany, że zima w Górach Transylwańskich ma jeszcze większy powab i drogi już dokonane i te, które jeszcze można zrobić, są bez wątpienia w wielkim stylu.

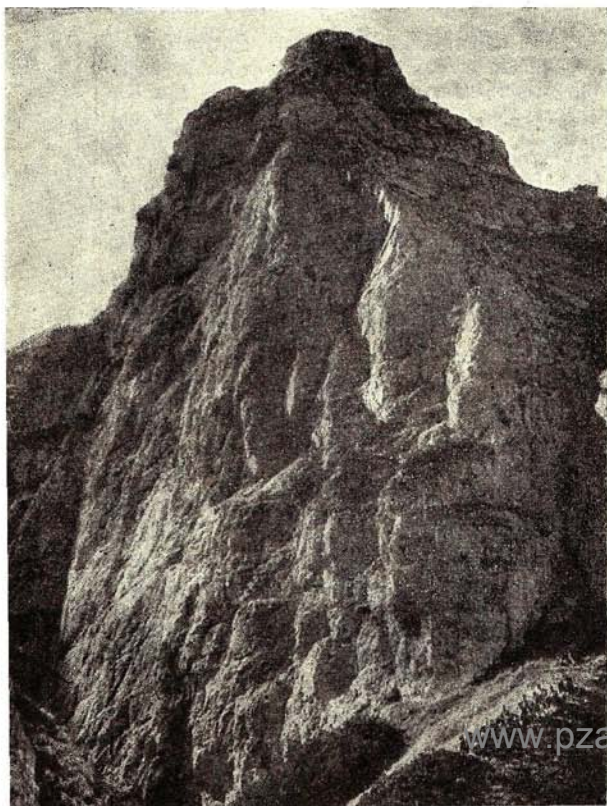
I jeszcze kilka słów na zakończenie. W Rumunii jest około 600 czynnych wspinaczy, w Czechosłowacji około 3000.

Wspinacze rumuńscy posługują się doskonałymi linami nylonowymi z Austrii i Francji oraz mają inne świetne zagraniczne wyposażenie z krajów alpejskich. Produkują u siebie trzewiczki manszonowe, bez których poruszanie się po mokrej skale jest prawie niemożliwe. U nas nie umie się zorganizować ich produkcji. Uwaga, nie myślę tu o filcu, który można u nas dostać, myślę tu o oryginalnym manszonie.

W grupie Bucegi mają alpinieści rumuńscy swoje dwa po prostu prawdziwe domy wysokogórskie. Jedno schronisko noszące nazwę Caminul Alpin, stoi właściwie na skraju górskiego miasteczka Busztieni, stylowe, eleganckie, kompletnie wyposażone. Posiada między innymi także salę wykładową i bibliotekę z kilkuset tomami. Drugie schronisko jest nieco wyżej, bo na wysokości około 1600 m i jest przeznaczone na 22 osoby. Całe jest zbudowane z falistej blachy, podobnie jak hangary lotnicze, posiada izolację i od wewnątrz jest wyłożone drzewem i stylowo urządzone. I nawet chociaż łóżka są w formie prycz, niemniej jednak obleczone są czystą pościelą. I to małe schronisko ma swoją biblioteczkę. Klucz do niego jest w Caminul Alpin i wydaje się go jedynie na legitymację alpinistyczną. Oba schroniska są dostępne tylko dla zorganizowanych alpinistów.

Czy nie sądzicie, mili czytelnicy, że z tych to wierszy nasze kompetentne czyniki sportowe mogłyby się czegoś nauczyć i wziąć przykład z zaprzyjaźnionej ludowodemokratycznej Rumunii i z jej maksymalnego zainteresowania tak wyczynowym sportem jakim jest alpinizm?

Tłum. Włodzimierz Kot



TATERNICTWO I ALPINIZM

W Alpach Ötztalskich

Na zaproszenie skierowane przez austriacką organizację Freie Österreichische Jugend do Zarządu Głównego b. organizacji ZMP, a która z kolei przekazała je b. Sekcji Alpinizmu ZG PTTK, wyjechała w Alpy Ötztalskie grupa taterników w składzie: Z. Krysa — kierownik, K. Jakubowska załatwiająca wszystkie sprawy administracyjne, A. Bilczewski i śp. J. Bilczewski, J. Jońca, L. Łącki, B. Skoczylasowa, W. Stefańska, A. Wilczkowski, Z. Wiśniowski oraz J. Szymanowski jako delegat ZG ZMP.

Wyjazd nastąpił pociągiem dnia 19. 7. 1956 r. Do Ober Gurgl w Alpach Ötztalskich, bazy wypadowej dla naszych taterników, przyjechali oni 21. 7. Już w czasie pierwszych wejść szczytowych w dniu 23. 7. okazało się, że położenie bazy jest za niskie powodując silne zmęczenie u nich.

W dniach 25 do 27. 7. cała grupa odbyła wycieczkę graniami z instruktorem T. Gigerem zapoznając się z terenem i lodowcami. W sumie dokonano wejść na 7 szczytów powyżej 3400 m przechodząc kilka mniejo-lodowo-skalnych grani. Dokonano wielu przejść przez poszczególne partie lodowców w różnych porach dnia oraz przebyto jeden z najdłuższych lodowców Alp Ötztalskich Langtaler od góry aż do czoła.

29. 7. doświadczony alpinista D. Buger przeprowadził z całą grupą pokaz techniki lodowej na czole lodowca Grossgugler.

W następnym okresie od 30. 7. do 4. 8. przeniesiono się z Ober Gurgl do sąsiedniej doliny Vent. Dalszą działalność prowadzą już uczestnicy samodzielnie w trzech grupach dokonując w tym czasie kilku wejść na bardzo dobrym poziomie jak na Alpy Ötztalskie.

A. i J. Bilczewscy, Z. Krysa i A. Wilczkowski wchodzą 31. 8. wsch. ścianą na Wildspitze (3774 m).

B. Skoczylasowa, W. Stefańska, L. Łącki i Wiśniowski pokonują 1.8. pn. ścianę Similaun (3607 m).

Na Seekarlsschneide granią wchodzą A. i J. Bilczewscy, J. Jońca i A. Wilczkowski. Ci sami 4. 8. wchodzą również na Watzenspitze (3583 m).

5. 8. nastąpił wyjazd z Oetz przez Innsbruck i Wiedeń do kraju.

Pobyt w Alpach Ötztalskich dał możliwość zapoznania się w stosunkowo łatwych wa-

runkach z terenem lodowcowym i pewne obycie z warunkami alpejskimi. Również i ten obóz wykazał, że nasi taternicy na ogół są przygotowani do samodzielnej działalności w Alpach tak, że opanowanie techniki lodowcowej niespotykanej w Tatrach zajmuje niezbyt wiele czasu. Niestety zbyt krótki okres obozu, również jak przy innych wyjazdach, o których pisaliśmy w numerze 1 z 1957 r., nie pozwolił na szerszą działalność w terenie.

Wydaje się jednak — nie robiąc tu żadnych zastrzeżeń w stosunku do osoby Z. Krysy, że w przyszłości koniecznym jest, by kierownikami takich wyjazdów były osoby znające możliwie teren działania, a przynajmniej posiadające doświadczenie alpejskie. Znacznie ułatwi to pracę kierownikowi, pozwoli na lepszy wybór terenu oraz rozwinięcie działalności. Pozwoli uniknąć posługiwania się obcymi instruktorami dla opanowania techniki lodowcowej przez uczestników.

A przecież posiadaliśmy odpowiednią ilość takich ludzi!

Opracował na podstawie sprawozdania kierownika obozu dla Z. G. Klubu Wysokogórskiego. Jerzy Wala

Wyprawa Polaków z Argentyny w Andy

W styczniu 1956 roku działała na terenie Andów wyprawa¹ zorganizowana przez Polaków (studentów medycyny i politechniki) pod patronatem Club'u Andino de Buenos Aires, który zarazem zaopatrzył ją w potrzebny sprzęt. Terenem działania wyprawy było alpinistycznie dotąd zupełnie nieeksploatowane Cordon de la Jaula, Pasma to, położone 50 km na pd.-wsch. od Uspallata otaczają: od pd. Cordon del Plata, od pn. Cordon Colorado i od zach. Tres Gemelos. Najdogodniejsze dojście do Cordon de la Jaula wiedzie słabo poznaną doliną rzeki Blanco.

W roku 1953 Club Andino Mendoza zorganizował osobną wyprawę, która za cel miała zbadanie dojścia do doliny Rio Blanco. Opracowane przez tę wyprawę dane to-

¹) Wiadomości zaczerpnięto ze „Słowa Polskiego“, organu Polonii Argentyńskiej. Czasopismo to zostało przesłane na adres Komitetu dla Spraw Turystyki w Warszawie, który z kolei przesłał te materiały do Krakowa. Upieczymym pośrednikiem była Ambasada Polska w Buenos Aires.

pograficzne stały się podstawą działania alpinistów-Polaków.

W skład wyprawy weszli: S. Blicharski, A. Dudziński, P. Dudziński, A. Pastewski oraz pełniący funkcje kierownika J. Peterek. Wyprawa opuściła Buenos Aires 29 grudnia 1955 r., zaś Uspallata 2 stycznia 1956 posługując się odład mułami i kierując się wzdłuż strumienia Minerero, osiągnęła nienazwaną przełęcz, z której udało się zejść do doliny rzeki Blanco.

Po założeniu bazy (obóz 1) i odesłaniu „bequeamo“ wraz z mułami, poświęcono krótki okres czasu na aklimatyzację. Obóz 2 założono nad pięknym małym jeziorkiem nazwanym Ojo del Mar (Morskie Oko). Z tego obozu uczestnicy wyprawy 8 stycznia 1956 r. weszli na szczyt 5000 m, nadając mu nazwę „Giewont“ oraz na szczyt 5200 m, łączący się z „Giewontem“ długą śnieżną granią. Otrzymał on nazwę „Tatra“.

Po odpoczynku w bazie zlikwidowano ją i przeniesiono się w inny rejon, oddalony od poprzedniego o 10 km. Założono tu powtórnie bazę (obóz 1), a następnie obóz 2 A. Dobra pogoda towarzysząca wyprawie w pierwszym okresie zwolna pogarszała się, tak, że działalność w drugim rejonie odbywała się przy gęstym opadzie śnieżnym, słabej widoczności oraz niskiej temperaturze (do -19°C).

11 stycznia członkowie wyprawy weszli na szczyt liczący 5230 m i nadali mu nazwę „Karpiński“, dla uczczenia Adama Karpińskiego. Drugiemu z kolei zdobytemu tego dnia wierzchołkowi nadano nazwę „C. A. B. A.“ (Club Andino de Buenos Aires). Ostatnim z osiągniętych szczytów była Aguila Blanca (5400 m).

Po zlikwidowaniu obozu 2 A, a następnie bazy, wyprawa rozpoczęła odwrót. Wracano wzdłuż Rio Blanco. Niespodziewane trudności i przeszkody zmusiły alpinistów do dwunastokrotnego przekraczania tej rwącej i lodowatej zimnej rzeki. Dla transportu rzeczy zakładano mosty linowe. Po trzdniowych trudach dotarto wreszcie do stacji Km. 119, przebyto most na Rio Mendoza i przygodnym autem dojechano do Uspallata.

Plonem wyprawy było dokonanie pierwszych wejść na pięć dziewiczych szczytów o wysokości od 5000 do 5400 m. Trzem z spośród nich nadano nazwy zaczerpnięte z nazewnictwa tatrzańskie i historii taternictwa. Poza tym wyprawa znalazła najdogodniejsze dojście do doliny rzeki Blanco oraz zbadała tę dolinę.

Młodym alpinistom-Polakom życzymy dalszych sukcesów w Andach i innych górach świata.

Adam Skoczylas

Na szczycie Muztag-Ata (7546 m)

Na najwyższy wierzchołek tego szczytu dokonało wejścia 31 lipca 1956 r. dwunastu chińskich i dziewiętnastu radzieckich uczestników wyprawy zorganizowanej przez Zw. Zawodowe ZSRR i Chińskiej Republiki Ludowej. Kierownikiem był znany alpinista E. Bielecki.

Była to już druga wspólna wyprawa. Pierwsza odbyła się w lecie 1955 r., przyniosła sukces w postaci wejścia na 2 niezdobyte dotychczas szczyty Jędiństwa (6673 m) i Oktiabrski (6780 m) położone w paśmie Zulumart ciągnącym się na południe od Pik Lenina w paśmie Zaałajskim.

Wyprawę przygotowano bardzo starannie. W czerwcu zgrupowano uczestników w Kaukazie, gdzie przeprowadzono trening na zboczach Elbrusu wchodząc, między innymi, całą grupą na jego Wsch. Szczyt (5595 m).

Po przybyciu do podnóża masywu Muztag-Ata, od razu przystąpiono do przygotowania i rozpoznania drogi oraz urządzenia pośrednich obozów, z których przedostatni założono na wys. 6800 m. Po kilkudniowej przerwie rozpoczął się właściwy, trwający 6 dni, atak. Mimo znacznych trudności, pojawiających się u niektórych uczestników objawów choroby wysokościowej, silnego wiatru i mrozu, udało się jednak aż 31 alpinistom osiągnąć szczyt podnosząc tym rekord wysokościowy radzieckich alpinistów.

Po likwidacji obozów i zejściu uczestników do bazy, wyprawa przeniosła się w rejon masywu Kongur, gdzie dokonano wejścia na niższy wierzchołek Kongur — Tiube (7595 m).

Muztag-Ata (7546 m) i najwyższy szczyt Pamiru — Kongur (7719 m) tworzą dwa najwyższe masywy pasma Kaszgarskiego, położonego na wschód od granicy radziecko-chińskiej, na terenie prowincji Sińczań. Ciągące się tu południkowo wysokie pasma górskie stykają się na północy pasmem King-Tau (główny szczyt Karabaktor 6634 m) z pasmem Zaałajskim. Stąd King-Tau ciągnie się na pd.-wsch. a następnie w kierunku południowym i oddzielony jest szeroką doliną górnego biegu Gezdaril od pasma Kaszgarskiego. Dolina górnego biegu rzeki Taszkurgan ogranicza to pasmo od południa oddzielając je od równoległe do siebie ciągnących się w kierunku na pd.-wsch. pasm Taszkurgantag i Kandarantag, a należących już do łańcucha Gór Kueń Łuń.

Ogromny masyw Muztag-Ata wznosi się na zachód od głównej linii pasma Kaszgarskiego i tak samo jak Kongur jest silnie zalodzony. Firnowa kopuła dwuwierzchołkowego szczytu daje początek dużej ilości lodowców. Znaczna wysokość masywów Kongur i Muztag-Ata tworzy naturalną przeszkodę na drodze zachodnich wiatrów osadzających tu resztki wilgotnych mas napływającego powietrza, których większa część zatrzymana została na zachodnim Pamirze.

Pierwszą próbę zdobycia szczytu przeprowadza w roku 1894 szwedzki podróżnik Sven Hedin od strony zachodniej z lodowca Jam-bułak. Brak doświadczenia oraz odpowiedniego przygotowania uniemożliwiły mu zdobycie szczytu, osiągnął on jedynie w 5 próbach prowadzonych dwoma drogami wysokość 6300 m.

W 1947 r. przeprowadza nowy atak mała prywatna wyprawa E. Shipton'a i G. Tilman'a. Z braku jednak i tu odpowiedniego przygotowania jak i na skutek 9-letniej przerwy w działalności alpinistycznej Shipton'a oraz ciężkich warunków pogodowych, nie udało się i tym razem zdobyć szczytu. Musieli odstąpić z wysokości 7300 m. Atak przeprowadzono z zachodniej strony bardzo trudną granią spadającą z głównego wierzchołka.

J. W.

Międzynarodowa wyprawa w Andy pod kierownictwem Lionela Terray'a

W skład tej wyprawy wchodził Francuzi, Holendrzy, Szwajcarzy i Peruwianie. W grupie Cordillera de Vilicamba Tom de Boy, G. Egeler, R. Jenny, L. Terray i tragarz E. Vargas wchodzi 15 kwietnia na niezdojbyty dotąd, szczyt Nevado Veronica (5750 m). Wszystkie poprzednie próby załamały się na skutek dużych trudności technicznych, nadzwyczaj stromych skał i lodowych zboczy. Bazę założono na wysokości 4000 m, skąd przeprowadzono w następnych dniach szereg rekonesansów. Po osiągnięciu wschodniej grani rozpoczęło się, wśród nieustających trudności technicznych, właściwe wejście trwające 5 dni. Trudności te zmusiły uczestników ataku do założenia obozu pośredniego, dokąd doprowa-

dzano ładunki przy pomocy wyciągu linowego.

3 czerwca dokonano wejścia na Soray (5780 m), znajdujący się w sąsiedztwie znanego szczytu Salcantay, na którym zginęli w 1953 r. austriaccy alpinisci Matzenauer i Kasperek, zdobywca pn. ściany Eigeru. Na ten ostatni dokonali II wejścia, T. de Boy, G. Egeler, 11 czerwca pn.-wsch. granią. Wejście wraz z zejściem zajęło 5 dni.

Następnie zdobyto Chacaraju (6120 m). 16 czerwca założono bazę, a w trzy dni później 19 czerwca pierwszy oboz na wys. 5100 m, skąd rozpoczęto atak. 31 czerwca w 7 godzinnej wspinaczce osiągnęli szczyt M. Davaille, Claude de Gaudin, R. Jenny, R. Seneler, P. Souriac i L. Terray. W zejściu zaskoczyła ich burza, tak, że bazę osiągnęli całkowicie wyczerpani.

J. W.

Austriacy w górach Małej Azji

W lecie 1956 roku udało się do pn.-wschodniej Turcji w Góry Pontyjskie czteroosobowa wyprawa zorganizowana przez Sekcję Wysokogórską „Bergland“ austriackiego Alpenvereinu. Kierownikiem był H. Knaffl, członkami T. Egger, W. Hansen i H. Köllensperger uczestnik wyprawy na Nanga Parbat w 1953 r.

Podróż do Turcji odbyli oni samochodem przez Jugosławię i Grecję. Dalsza droga prowadziła przez Ankarę skąd dalej na północny-wschód ku Morzu Czarnemu. Napotkano na duże trudności wywołane zniszczeniami wykonanymi przez występujące w tym czasie gwałtowne burze. Ostatnie 70 km przebyto pieszo w górę dolina Furtuna. Nieprzerwanie występujące mgły, burze, deszcze i śnieg utrudniały akcje.

Z bazy założonej na wysokości 3000 m dokonano wejść na 13 szczytów; w tym dwanaście to pierwsze wejścia. Trzynastym było wejście na Kaczkar (3960 m), dotąd zdobyty jedynie najłatwiejszą drogą. Austriacy dokonali wejścia północną i zachodnią granią. Nadano wielu szczytom nazwy jak Berglandspitze, Lienzerpasi, Bielkapasi i inne.

Zdaniem uczestników wyprawy, zarówno formą jak i dzikością, potrzaskanymi lodowcami i wysokimi do 900 m ścianami przypominają te góry Igły Chamonix.

TATERNICTWO JASKINIOWE

Wyprawa do jaskiń Bułgarii

Lato 1956 roku przyniosło polskim taternikom jaskiniowym dwie duże akcje poza granicami kraju: wyprawę do Bułgarii i udział w międzynarodowej wyprawie do Gouffre Berger, najgłębszej jaskini świata. Wprawdzie już w poprzednim roku zorganizowano dwa obozy w Tatrach Słowackich, a pięciu Polaków wzięło udział w słowackiej wyprawie do awenu Ohniste, ale dopiero wyprawa do Bułgarii była pierwszą próbą samodzielnej eksploracji odległych i całkowicie prawie nam nieznanych obszarów krasowych.

Wiadomości o terenie działania zostały zebrane przed wyjazdem na podstawie dość ogólnikowej literatury geologicznej, nielicznych publikacji speleologicznych oraz in-

formacji K. Kowalskiego, który w czasie pobytu w Bułgarii w lecie 1948 roku zwiedzał tam kilka jaskiń. Nie udało się niestety nawiązanie kontaktów korespondencyjnych ze speleologami bułgarskimi. Natomiast stosunkowo dokładne i wyczerpujące były uzyskane wiadomości dotyczące warunków miejscowych, aprowizacji, cen itd. co pozwoliło na szczegółowe opracowanie preliminarza wydatków.

W wyprawie wzięło udział dwunastu uczestników: Przemysław Burchard, Leszek Dziegieł, Ryszard Gradziński, Kazimierz Grotowski, Ryszard Karpiński, Andrzej Radomski, Włodzimierz Starzecki, Konstanty Stecki, Jerzy Tomaszewski (kierownik), Rafał Unrug, Tomasz Umiński i Stefan Zwołański.

Ogólne koszty wyprawy były bardzo niewielkie, wyniosły bowiem około 22.000 zł, z czego 6.000 zł pokryli uczestnicy. W sumie tej mieści się również koszt nakręconego filmu dokumentalnego długości 360 m. Ze względu na stosunkowo małą ilość przyznanych dewiz, część żywności zakupiono w kraju.

Wyprawa zaopatrzona była w sprzęt używany już poprzednio w polskich jaskiniach, a więc: 60 m drabin sznurowych, dinghy, spodnie gumowe z pływakiem, hełmy, elektryczne światła czołowe i lampy karbidowe, mały mechaniczny oraz normalny sprzęt taternicki, obejmujący m. in. ponad 250 m lin. Na każdym z dwóch uczestników przypadał jeden namiot i spirytusowa maszyna do gotowania. Licząc się z koniecznością oficjalnych wystąpień w Sofii, zabrano prócz stroju turystycznego również i normalne ubrania.

Wyjazd nastąpił w dniu 4. lipca. Jadąc pociągiem przez Budapeszt i Belgrad przybyliśmy do Sofii 6. lipca wieczorem. Pierwszy dzień pobytu w stolicy Bułgarii zajęło załatwianie formalności oraz spotkanie z przedstawicielami tamtejszej Sekcji Alpinizmu i omawianie z nimi programu działania wyprawy. Oczekiwanie na nadejście bagażu zmusiło nas do przedłużenia pobytu w Sofii o dalsze dwa dni. Jeden z nich poświęcony został na wspinaczki w szkółce alpinistycznej położonej w masywie Witoszy.



Bułgarska Sekcja Alpinizmu przydzieliła nam dwóch przewodników: głównego trenera Władimira Toszkowa i mistrza sportu Enczo Petkowa, który jest równocześnie grotołazem. Obaj okazali się bardzo dobrymi i miłymi towarzyszami.

10. lipca rozbiliśmy biwak w przełomie rzeki Isker koło Łakatnika w Centralnym Bałkanie. W miejscowości tej znajduje się najdłuższa jaskinia Bułgarii — Temnata Dupka, licząca blisko 3 km długości, którą przepływa podziemna rzeka. Posuwając się wzdłuż niej, dotarliśmy do położonych przy końcu jezior i syfonu zamykającego dalszą drogę. Został on wytypowany jako problem, który powinien być zaatakowany w czasie następnej wyprawy przy pomocy aparatów do swobodnego nurkowania.

Po przeglądnięciu kilku mniejszych jaskiń w okolicy Łakatnika, biwak został przeniesiony do Karłukowa, położonego kilkadziesiąt kilometrów dalej na północ. Zeszliśmy tutaj na dno szeregu avenów, a wśród nich bardzo interesującej jaskini Kuczeszka Pesztera, w której od szeregu pokoleń żyją ślepe psy jaskiniowe. Jednego z nich udało się wydobyć na powierzchnię. Został on przez miejscowego weterynarza odesłany do Instytutu Zoologicznego w Sofii.

Z Karłukowa samochód brygady geologicznej przewiózł nas w okolice wsi Głozenek, nad rzekę Wit. Po drodze minęliśmy wywierzysko Złatna Paniga, drugi z kolei pro-



PODZIEMNA RZĘKA W JASKINI „TEMNATA DUPKA” KOŁO ŁAKATNIKA.

R. Gradziński

blem, który trzeba by rozwiązać przy pomocy aparatów nurkowych. Prowadzone z biwaku w Głóženem poszukiwania powierzchniowe i wywiady z ludnością przyniosły w rezultacie odszukanie drogi do najgłębszej jaskini Bułgarii — Bezdenem Pczelin. Równocześnie odkryto w jaskini Morawicy 300 m nieznanych dotąd korytarzy, a jedna z grup zeszała na dno awenu Drganczowica, głębokiego ok. 80 m.

Zakończeniem działalności w Centralnym Bałkanie było zejście na dno Bezdenem Pczelin, położone 120 m poniżej powierzchni. Akcja ta trwała 21 godzin.

21. lipca powróciliśmy autobusem do Sofii, by tego samego dnia wyjechać nocą w góry Pirin. Pirin przypomina krajobrazowo Tatry Zachodnie. Najwyższy jego szczyt El Tepe (2925 m) zbudowany jest z marmuru. Jego północna, 400-metrowa ściana jest najwyższą skalną ścianą Bułgarii. Przebyły je dwie dwójki (Grotowski — Radomski i Karpiński — Unrug). Następnego dnia przeszliśmy główną granią Pirinu aż do Temnatego Jeziora, a wieczorem 25 lipca wróciliśmy do Sofii, by 27. wyruszyć w drogę powrotną przez Warnę, Bukareszt i Bratysławę. Po jednodniowych przerwach w podróży w każdej z tych miejscowości, przyjechaliśmy do Katowic wczesnym rankiem 2 sierpnia.

Wyprawę do jaskiń Bułgarii należy ocenić niewątpliwie pozytywnie. Prócz osiągnięć sportowych, wśród których na pierwsze miejsce wysuwa się II zejście na dno Bezdenem Pczelin, przyniosła ona przede wszystkim rezultaty jako wyprawa rekonesansowa, a więc bogate doświadczenia or-

ganizacyjne i rozpoznanie terenu i problemów jaskińowych.

Zebrane informacje pozwalają przypuszczać, że jaskinie o rozwinięciu zarówno pionowym jak i poziomym istnieją na całym niemal obszarze Centralnego Bałkanu, przy czym największe możliwości eksploracyjne zdają się rokować okolice Trojana i Belogradczyka. Wytypowanymi problemami wodnymi są syfony w jaskini Temnata Dupka i wywierzyisko Złatna Paniga.

Trudności wynikające z niezajomości języka bułgarskiego zostały szybko przezwyciężone, tak że już po kilku dniach większość uczestników mogła się porozumiewać z Bułgarami w najważniejszych sprawach, a część poznała język w stopniu pozwalającym na swobodną rozmowę z ludnością.

Do błędów i niedociągnięć wyprawy zaliczyć należy wystawienie paszportu zbiorowego, co uniemożliwiło podział na mniejsze, zupełnie niezależnie od siebie działające grupy. Późne otrzymanie paszportu spowodowało opóźnienie w nadaniu bagażu, wskutek czego nadszedł on do Sofii w cztery dni po przyjeździe składu osobowego wyprawy. Poważnym brakiem był zły stan ekwipunku niektórych uczestników.

Dużym osiągnięciem wyprawy było natomiast nawiązanie licznych kontaktów ze speleologami i alpinistami w Bułgarii i Rumunii. W Bukareszcie zatrzymaliśmy się w drodze powrotnej jeden dzień na zaproszenie Instytutu Speleologicznego i Sekcji Alpinizmu, a w czasie przerwy w podróży w Bratysławie odbyliśmy narady z aktywnym słowackiego ruchu speleologicznego.

Ryszard Gradziński

BIWAK NAD RZEKĄ
ISKER (Centralny Bałkan).
R. Gradziński



UWAGI O PRZEWODNIKU W. H. PARYSKIEGO

R. W. Schramm

Witold H. Paryski: „TATRY WYSOKIE“ przewodnik taternicki. Część I: Lillowe — Mały Kościelec, str. 150, 16 rys., 1951 r. — Część II: Zawrat — Zółta Turnia, str. 137, 18 rys., 1951 r. — Część III: Granacka Przełęcz — Wołoszyn, str. 87, 21 rys., 1951 r. — Część IV: Walentkowa Przełęcz — Przełęczka pod Zadnim Mnichem, str. 209, 33 rys., 1951 r. — Część V: Cubryna — Skrajna Baszta, str. 122, 21 rys., 1954 r. — Część VI: Cubryna — Zabia Turnia Mięgoszowiecka, str. 177, 18 rys., 1952 r. — Część VII: Zabia Przełęcz Wyżnia — Zabia Czuba, str. 211, 37 rys., 1954 r. — Część VIII: Młynicka Przełęcz — Krywań, str. 208, 30 rys., 1956 r. — Wydawca: Części I, II, III, IV i VI — Spółdzielczy Instytut Wydawniczy „Kraj“, Warszawa. Części V, VII i VIII — „Sport i Turystyka“, Warszawa.

W dwadzieścia pięć lat po ukazaniu się — pomnikowego zresztą na owe czasy — dzieła J. Chmielowskiego i M. Świerza „Tatry Wysokie“, doczekaliśmy się wreszcie rozpoczęcia wydawania nowoczesnego przewodnika taternickiego. Potrzeba, a nawet konieczność ukazania się takiego wydawnictwa była już od dłuższego czasu palącą i jasną nie tylko dla taterników, ale i dla wszystkich interesujących się Tatrami. Ogromny rozwój taternictwa polskiego, jaki nastąpił niemal bezpośrednio po ukazaniu się przewodnika Chmielowskiego i Świerza, spowodował jego bardzo szybkie zdezaktualizowanie się. W rozdziałającym oba przewodniki ćwierćwieczu dokonano w Tatrach przeszło dwukrotnie więcej niż w całym poprzedzającym okresie, a powiększającej się coraz bardziej luki nie były w stanie wypełnić dorywcze uzupełnienia w rodzaju „Skalnych Dróg“.

W. H. Paryski jest bez wątpienia największym w chwili obecnej po obu stronach Tatr autorytetem tatrzańskim i trudno sobie nawet wyobrazić, żeby ktokolwiek poza nim mógł w równej mierze sprościć zadaniu opracowania tego rodzaju przewodnika.

Dzieło podjęte i częściowo już dokonane przez Paryskiego jest ogromne. Przewodnik jednocyfrowy i systematyzuje kolosalny materiał. Zasięg jego obejmuje według pla-

nu cały teren Tatr Wysokich, zarówno część polską jak i słowacką, omawiając nie tylko szczyty o znaczeniu wspinaczkowo-taternickim, ale również partie łatwe, jak gniazdo Wielkiej Kopy Koprowej, Gęsiej Szyi itp. Dla każdego nie traktującego Tatr wyłącznie wspinaczkowo jest to jego duża zaleta. Ze względów wydawniczych przewodnik podzielony jest na szereg niewielkich części (tomików), obejmujących pewne choć trochę samodzielniejsze i wyodrębnione partie Tatr Wysokich — stąd też pochodzą ich różnorodna objętość i nierówne taternicko znaczenie. Układ ogólny przewodnika i szczegółowy układ opisów został ujednolicony i po pewnym przyzwyczajeniu się do niego okazuje się wygodny i łatwy. Podzielenie dróg na odcinki, oznaczenia ich literami alfabetu oraz rozróżnienie zasadniczej drogi od wariantów wielkością druku wydaje się jedynym wyjściem umożliwiającym należyte przedstawienie tak zagmatwanej już nieraz sieci poszczególnych dróg, a szereg opisów, opracowanych w ten sposób z wzorową starannością i dokładnością szczegółów wydaje się zbliżyć do formy ideału. Na podkreślenie zasługuje duża liczba rysunków uzupełniających tekst i wyjaśniających w zarysie kierunek większości dróg oraz bardzo przydatne schematyczne mapki orientacyjne.

Jeżeli jednak, o ile chodzi o sprawę ogólną, można mieć tylko słowa uznania, to zagłębiając się w szczegóły napotykałyśmy cały szereg błędów i braków. Nie jest to wina Paryskiego. Dzieło tego rodzaju winno być — jak to doskonale rozumie i podkreśla sam autor — pracą zespołową. Samodzielne sprawdzenie i opracowanie wszystkiego na jednolite wysokim poziomie przekracza grubo fizyczne możliwości jednego człowieka, który opierając się na opisach dostarczonych przez najrozmaitszych autorów lub materiałach pozostawionych przez poprzedników, a chcąc skończyć całość w jakimś realnym terminie, musi nieraz przyjąć posiadane dane za dobrą monetę. Dlatego autor przystępując do pracy rozpiął ankietę do kilkuset taterników z prośbą o materiały. Odpowiedziało kilka (parę!) procent. To-

też krytyka szczególnie pierwszych tomów przewodnika nie jest krytyką autora, ale conajmniej w równej mierze krytyką ogółu taterników — przede wszystkim polskich — którzy opieczęstali, lenistwem i inercją dopuścili do przeniesienia starych błędów do nowego przewodnika i powstania nowych.

Spróbujemy omówić chociażby ogólnie i wrywkowo najważniejsze usterki nie zapominając równocześnie o zaletach.

Wprowadzone do przewodnika nowe nazwy i poprawki w dotychczas używanych nie spotkały się z poważniejszymi zastrzeżeniami poza wznowieniem starej i nieznannej ogólnie nazwy Doliny Ciężkiej zamiast Czeskiej (oraz analogicznymi zmianami we wszystkich nazwach pochodnych), które narobiło sporo wrzawy po obu stronach Tatr. Wydaje się jednak, że i tu bezsporny w sprawach nazewnictwa tatrzańkiego autorytet Paryskiego, poparty zresztą w tej sprawie w pełni m. i. przez kustosa Muzeum Tatrzańkiego w Popradzie I. Bohusa, przeważył i z czasem powrócimy bez oporów do starej nazwy. Szkoda tylko, że wprowadzając tę zmianę działął Paryski metodą zaskoczenia, a nie dał uprzednio na ten temat jakiejś choćby drobnej notatki np. w „Wiercach“; w przewodniku nie ma oczywiście miejsca na argumentację i udokumentowanie. Wyodrębnienie poszczególnych szczytów, turni i przełęcz nie odbiega na ogół od uartego w praktyce. Niebezpiecznym jednak precedensem jest tu wydzielenie jako samodzielnej jednostki Zóltej Igły. Wobec znanej postawy autora walczącego o rzeczy wielkie w taternictwie x-tego rodzaju usamodzielnienie rzędnej turniczki, której podobnym znajdziemy ze dwa tuziny w samych Tatrach Polskich, jest zupełnie niewytłumaczalnym, a niestety autorytatywnym przypięczeniem rzeczy naprawdę małej. Jeżeli zgadzamy się — i słusznie — z niewyodrębnianiem jako samodzielnej jednostki np. Pańszczyckiej Turni czy nawet Turni nad Szczętami lub Mniszka, to należało tę linię konsekwentnie zachować, choć z drugiej strony względy praktyczne zdają się już obecnie przemawiać za usamodzielnieniem niektórych niewyodrębnionych przez

Paryskiego, a z taternickiego punktu widzenia wybitnych turni, jak np. Buczyna Strażnica i inne.

Wysokości ścian oparte na wnikliwej analizie na ogół są obliczone bardzo trafnie, prostując niejednokrotnie dawne nieścisłości. Jednak i tu wynikają niekiedy z porównania drobne zresztą na ogół sprzeczności: tak np. wysokość pn.-wsch. grzedy Wielkiej Buczynowej Turni stanowi na pewno więcej niż 2/3 wysokości pn. ściany (u Paryskiego 200 i 300 m).

Kwestia ustalenia innych kierunków geograficznych od dotychczas przyjętych dla niektórych ścian, np. na Mnichu, nie powinna budzić większych zastrzeżeń. Pamiętajmy, że są to tak czy owak określenia tylko mocno przybliżone i odchylenia mogą przekraczać 20°.

Obfite dane historyczne zostały zebrane z ogromną starannością i dużej ich wartości nie umniejszają bardzo neliczne i drobne braki. Łuki w materiale zdarzają się zupełnie wyjątkowo i to w pierwszych częściach (droga środkiem pd. ściany Niebieskiej Turni z 1943 r., parę wariantów). Z powodów podanych wyżej niektóre opisy — chcąc je w ogóle umieścić — musiał autor sam układać, osobiście nie znając tych dróg, na podstawie lakonicznych notatek, szkiców lub nawet ustnych informacji, co oczywiście odbija się na ich dokładności (np. droga Wrześniaków środkiem pd. ściany Zamarłej Turni — 160).

Wskutek niedostatecznych materiałów nie unikną Paryski omyłek i w klasyfikacji dróg, która po staremu uwzględnia jedynie stopień trudności. Całkowicie słuszne jest, kwestionowane z początku przez niektórych taterników szczególnie starszego pokolenia, wprowadzenie stopnia dróg skrajnie trudnych: co więcej, dzisiejszy materiał wymaga już wejścia poza przyjętą przez Paryskiego dolną granicę i wyodrębnienia dróg skrajnie trudnych typowych. O ile jednak drogi o niższych trudnościach oraz drogi wielokrotnie już powtarzane są sklasyfikowane poprawnie z drobnymi wyjątkami (np. droga Świerza pn. ścianą Zabiej Turni Mieguszowickiej — 990 — jest bez wątpienia bardzo trudna), dotyczącymi niekiedy tylko pewnych fragmentów lub wariantów drogi, to w przypadku dróg o najwyższych trudnościach, a w dodatku przeważnie w chwili pisania przewodnika zaledwie raz przebytych, praktyka wykazała obecnie konieczność wprowadzenia szeregu zupełnie zasadniczych poprawek. Na ogół w przewodniku trudności, a zwłaszcza czasy, są oceniane na tych drogach o wiele za nisko. Typowym przykładem może być droga lewą częścią zach. ściany Kościelca

(109), wg przewodnika nadzwyczaj trudna 3 godz.; w rzeczywistości powinna być sklasyfikowana jako skrajnie trudna (typowa i o bardzo dużym nagromadzeniu trudności) 7 godz. Obok niej, drogi: pr. częścią pd.-wsch. ściany Zamarłej Turni (157), l. filarem pn. ściany Kozich Czub (176 — najtrudniejszy odcinek stanowi obecnie już tylko trudniejszy wariant całości), prawa droga pd.-wsch. uskokiem Zadniego Mnicha bez t. h. (524 B), dalej drogi środkiem Kazalnicy (927), środkiem pn. ściany Zabiej Turni Mieguszowickiej (991), a zapewne i niektóre inne co do których brak w tej chwili dostatecznie potwierdzonych danych jak np. Teriańska Przełęcz Niżnia pn.-wsch. żłebem (703), w długi przyjętej przez autora klasyfikacji należy zaliczyć do skrajnie trudnych, przy czym drogi względnie warianty: 108 CDE („komin Świerza”), 109, 176, 983, 991, 1147P (Zabia Łalka „rysa Kozika”) będą chyba najtrudniejszymi (technicznie) w swojej klasie — skrajnie trudnymi typowymi.

Dość pochopnie potraktował autor kwestię dróg hakowych, zaliczając do grupy „te-ha” wszystkie, w których opisie zdobywcy, zwykle młodzi i skrupulatni, zaznaczyli użycie bodaj raz haka jako chwytu lub stopnia. Niezależnie od tego, że wiele z tych dróg było już następnie robionych bez tego ułatwienia, wydaje się, że użycie na jakiejś drodze w jednym czy dwóch miejscach haka nie wymaga koniecznie zaliczenia jej do odrębnej klasy, a z drugiej strony nie można takich dróg „przypadkowo hakowych” łączyć w jedno z drogami typowymi, których sens i smak polega na przebyciu właśnie hakowego odcinka ściany. W ogóle w poglądach na stosowanie sztucznych ułatwień jesteśmy, przynajmniej oficjalnie, nawet w stosunku do CSR jeszcze bardziej ortodoksyjni, a klasyfikacja dróg tego typu, nietknięta właściwie przez Paryskiego, jest u nas jeszcze w powijakach i wymaga szerszej dyskusji i opracowania (porównaj T. Strumiłło: „Uwagi o tzw. technice hakowej”, *Oscypek* Nr 7, 1952, str. 14).

Czasy, podobnie jak i trudności, w zasadzie są wycenione bardzo dokładnie, jednak i tu spotykamy niekiedy rażące nawet nieścisłości, zwłaszcza w opisach dróg najtrudniejszych i tylko raz przechodzonych, gdzie zostały przeważnie zupełnie dowolnie zbyt skrócone. W takich przypadkach właściwszym i więcej mówiącym wydaje się po prostu podawanie czasu pierwszego przejścia. Na odwrót czasy przejścia niektórych nawet części przechodzonych dróg są niekiedy wyraźnie za długie, jak np. zachodniej Kozich Czub (181 — 3 godz.) lub pn. Wielkiej Buczyno-

wej Turni (295 — 3 godz.). W pierwszym przypadku w zupełności wystarczy i powinno być 2 godz., w drugim 2 1/4. Natomiast bez wątpienia za krótki jest podany czas wejścia na Mieguszowicką Przełęcz Wyżnią od pn. (902 — 1 godz.) — drogę nieco nawet dłuższą (ponad 300 m różnicy wzniesień) i o tych samych mniej więcej trudnościach co droga 295. W ogóle wydaje się, że w ocenie czasów Paryski zbyt mało posługiwał się metodą porównawczą. Przecież trudno się zgodzić na to, że na przejście drogi pn.-zach. żłebem na Zadnim Granat (217 — droga częściowo nadzwyczaj trudna, różnica poziomów 450 m, w tym ok. 90 m wspinaczki) potrzeba tylko o 1/2 godz. więcej niż na przebycie drogi środkowym żłebem pn.-zach. ściany Skrajnego Granata (224 — droga częściowo dość trudna, różnica poziomów ok. 360 m, duże partie zupełnie łatwe). Tego rodzaju przykładów można by znaleźć sporo. Wydaje mi się również, że o ile jakaś droga ma szereg uczęszczanych i logicznych wariantów, różniących się znacznie trudnościami i czasem, powinno się to zaznaczyć przy podawaniu czasu przejścia całości.

Rysunków mamy w przewodniku dużo — niemal wszystkie ważniejsze ściany są naszkicowane. W zasadzie spełniają nie najgorzej swoją rolę orientacyjnego bodaj ilustrowania tekstu, chociaż obok usterek traflają się czasami wyraźne błędy (np. droga 209 jest kreślona na rys. 28 i 50 zupełnie błędnie — w rzeczywistości biegnie ona znacznie bardziej na lewo jednym z dwóch żłebków widocznych b. dobrze na rys. 50). Można im zarzucić zbyt wielką chaotyczność, podobnie jak i mapkom, jednak zagadnienie właściwego ilustrowania przewodnika jest w ogóle jednym z najtrudniejszych. Tak samo zresztą jak i przy opisach dał się tu autorowi we znaki dotkliwy brak materiałów (fotografii i szkiców).

W spisie literatury uderza brak wszystkich dotychczasowych przewodników polskich. Wielkim i nieodżałowanym dla wszystkich, poważnie interesujących się Tatrami brakiem jest również pominięcie danych bibliograficznych, ale niemy nadzieję, że zgodnie z niewyraźną obietnicą autora otrzymamy bibliografię w suplementcie.

Tomiki I—IV, VI i VII obejmują całość Polskich Tatr Wysokich. Z tomikiem V, który ukazał się po paru latach zwłoki jako pierwsza część rozbitego na dwa (IV i VII) wskutek pomnażania się materiału pierwotnie planowanego jednego tomu V, wkraczamy już w całości na słowacką stronę Tatr.

W sumie, mimo niewątpliwych braków, dotychczasowe tomiki przewodnika Paryskiego są na-

„SPORT I TURYSTYKA” WYJAŚNIA

prawdę wielkim osiągnięciem. Pojawienie się pierwszych jego części przed latem 1951 posunęło mocno naprzód masowy rozwój i poziom literatury polskiego.

Zastrzeżenia natomiast budzi polityka Wydawnictwa „Sport i Turystyka” w stosunku do przewodnika. O ile cztery pierwsze tomiki zostały wydane w ciągu jednego tylko półrocza 1951 roku (wtedy jeszcze był to „Kraj”), to na następne cztery czekaliśmy pełnych 5 lat, a przerwy pomiędzy poszczególnymi zeszytami, sięgały dwóch lat! Jeżeli uprzytomnimy sobie, że to co się ukazało stanowi mniej więcej 2/5 całości, to pytamy się jak długo mamy czekać na resztę? A przecież chcemy, zwłaszcza teraz po szerszym otwarciu granicy, mieć całość przewodnika już, w ciągu roku, dwóch! Materiały są! Nie zapominajmy także, że w toku tak wolnego ukazywania się przewodnika następuje jego stała dezaktualizacja. Już w tej chwili materiały na suplement do kilku pierwszych części złożyły się na zeszyt grubszy niż najgrubszy z dotychczas wydanych. Jakąż wartość, jako całość, mieć będzie przewodnik, którego tom ostatni — na co się zanosi — ukáže w 20 lat po pierwszym.

Pogorszeniu ulega też strona techniczna wydawnictwa. Stałe zmiany redaktora i drukarni nie wychodzą przewodnikowi na dobre. Szczególnie nieprzyjemne są zmiany czcionki. Najładniejszą i najczytelniejszą czcionkę miały pierwsze tomiki, w dalszych sprawa przedstawia się gorzej. To samo odnosi się do papieru: jest lichi i bodajże coraz lichszy w miarę ukazujących się tomków; a przecież przewodnik nie jest książką, którą się raz przeczyta i odkłada na półkę, a warunki, w jakich jest używany, wymagają właśnie specjalnie cienkiego i dobrego papieru. Dodatkowo w tomiku V razi użycie nierównej czcionki w pisowni nazwisk czeskich i słowackich oraz zupełnie inny od pozostałych szarzielony kolor okładek; niby drobniaczek — ale nieprzyjemne. Korekta wielu części jest niestaranna co szczególnie daje się zauważyć w tomikach V i VII; odnosi się wrażenie, że podpisano je do druku bez ostatniej korekty autorskiej. Słusznym natomiast wydaje się ograniczenie nakładu wydawnictwa z pierwotnych 10 do 5 a nawet ostatnio 4 tysięcy, co niestety pociąga za sobą wzrost ceny (nie jest to zresztą jedyna przyczyną dla tego regularnego i niepokojącego zjawiska).

Miejmy nadzieję, że zgodnie z zapowiedzią podaną na końcu tomiku VIII tempo wydawnictwa ulegnie wzmoczeniu a stosunki wydawnicze uregulowaniu i że w ciągu najbliższych lat otrzymamy całość (z suplementami) tego wielkiego dzieła o naprawdę nieprzemijającej wartości.

R. W. Schramm

Nawiązując do ostatnich zdań powyższej recenzji trzeba wyraźnie stwierdzić, że nie wiele przemawia za tym, iż tempo wydawania przewodnika „ulegnie wzmoczeniu a stosunki wydawnicze uregulowaniu” w kierunku, jakiego sobie życzy autor recenzji.

Autor recenzji uważa zmniejszenie nakładu z 10.000 egz. przy tomikach początkowych do 4000 egz. przy tomie ostatnim za słuszne. Zmniejszenie to jednak spowodowało, że strata poniesiona na tym tomie przez Wydawnictwo wyniosła około 30 000 zł.

Zamówienie „Domu Książki” na tom następny wynosi już tylko 2500 egz. Cena sprzedaży będzie wyższa a mimo to deficyt, który będzie musiało Wydawnictwo pokryć, ulegnie bardzo znacznemu zwiększeniu. A tymczasem autor recenzji chciałby „mieć całość przewodnika już, w ciągu roku, dwóch”.

Decydują nie tylko względy finansowe.

Zgodnie z umową Autor miał dostarczyć rękopis kolejnego IX tomu w połowie sierpnia 1956 r. Do połowy listopada 1957 r. Wydawnictwo jeszcze maszynopisu nie otrzymało. Jak wygląda w świetle tych faktów wykrzyknik autora recenzji „Materiały są!”?

Podobne zresztą trudności były przy wydawaniu poprzednich tomów, dlatego też m. in. na ostatnie 4 tomiki czytelnicy czekał! 5 lat.

Zgadzamy się z autorem recenzji, że zmiana redaktora, drukarni, czcionki i papieru nie wychodzą przewodnikowi na dobre. Aczkolwiek redaktora zmienialiśmy wówczas, gdy poprzedni przestał pracować w redakcji, drukarnię — nie zawsze możemy wybrać, to jednakże można było nie zmieniać kroju czcionki i utrzymać w jednym kolorze okładkę. Jest to niedopatrzenie redakcji. Inaczej z papierem. Papier daliśmy ostatnio o niższej gramaturze, by zmniejszyć straty.

Wracając do sprawy najważniejszej. Tempo wydawania przewodnika można przyspieszyć jeżeli:

Klub Wysokogórski zorganizuje taką ilość odbiorców, by nakład wydany dla nich (ok. 7000) nie był nakładem deficytowym, — względnie znajdzie fundusze na pokrycie strat; autor będzie składał opracowane materiały Wydawnictwu w odpowiednich terminach.

Jeżeli natomiast przewodnik ma ukazywać się w nakładach 2500 — 4000 egz. i bez pokrycia strat przez Klub, to nawet mając przygotowane do druku 12 (wg. obliczeń recenzenta) tomów, Wydawnictwo będzie mogło wydawać nie więcej niż jeden tom rocznie, ponieważ tylko na tyle może subwencjonować tego rodzaju przedsięwzięcie.

Wydawnictwo

„Sport i Turystyka” PP.

PISMA I KSIĄŻKI NADEŚLANE

1. Festschrift zum 60-jährigen Bestand der Landesstelle Wien und Niederösterreich des Österreichischen Bergrettungsdienstes. Herausgeber: Österreichischer Bergrettungsdienst Landesstelle Wien und Niederösterreich; für den Inhalt verantwortlich: Ing. Hannes Waidhofer; Druck: V. Klaushofer, Wien IV. 1956. Str. 36, mapka 1.

2. Góry Wysokie. Krakowska Sekcja Alpinizmu Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Kraków. Zeszyty: — kwiecień 1954, str. 34; wrzesień 1954, str. 48; luty 1955, str. 86.

3. Journal Schweizerische Stiftung für Alpine Forschungen. Zürich, Vol. 1.: Nr. 1, 1 4. 1953, str. 63; Nr. 2, 15. 3. 1954, str. 63; Nr. 2, 1. 9. 1954, str. 63; Nr. 4, 20. 4. 1955, str. 63; Nr. 5, 31. 5. 1956, str. 63.

4. Katalog Centralnej Biblioteki Górskiej PTTK, Kraków, luty 1957. Str. 208. Skrypt.

5. Le Crampon. Groupe Universitaire de Montagne et de Ski. Paris, Nr 90, mai 1957, Bulletin mensuel. Str. 37, powielane.

6. L'Ami de la Nature. Revue du Plein Air éditée par la FSGT. Paris. Nr. 32, avril-mai 1957.

7. Österreichische Alpenzeitung. Herausgegeben vom Österreichischen Alpenklub. Jänner-Februar 1957, Folge 1291, str. 48; März-April 1957, Folge 1292, str. 39; Mai-Juni 1957, Folge 1293, str. 33; Juli-August 1957, Folge 1294, str. 32; September-October 1957, Folge 1295, str. 42.

Poczynając od bieżącego numeru będziemy podawać w tej rubryce wszystkie nadsyłane do Redakcji wydawnictwa książkowe i periodyczne.

Zwracamy się z prośbą do wszystkich, którzy posiadają obecnie jakiegokolwiek materiały archiwalne, publikacje periodyczne i książki oraz inwentarz ruchomy, stanowiące kiedyś własność Redakcji „Taternika”, o przekazanie do Redakcji, za co uprzejmym ofiarodawcom z góry dziękujemy.

Poszukujemy również kompletu „Taternika” za lata 1907—1939, 1940—1944, 1947—1949.

REDAKCJA „TATERNIKA”

kronika żałobna



JACEK BILCZEWSKI

(9. 11. 1931 — 28. 3. 1957)

Czymś wyjątkowym i przynębiającym była jego śmierć na skutek poślizgnięcia wraz z Tadeuszem Korkiem w czasie zejścia żlebem z Hińczowej Przełęczy w dniu 28 marca 1957 r.

Miał wówczas za sobą już sześć lat taternictwa uprawianego z wielkim entuzjazmem i młodzieńczym zapałem. Posiadał duże doświadczenie i za-

piisał na swym koncie szereg ciekawych przejść, chociażby takie, jak zimowe wejście na Kozią Przełęcz Wyżnią, Mnichową Przełęczką i szereg innych. Był uczestnikiem ogólnopolskich obozów zimowych w Tatrach Słowackich w roku 1955 i 1956, a lato 1956 r. stało się dla niego wielką szansą dla dalszego rozwoju — brał udział w obozie treningowym w Alpach Ötztalskich uzyskując piękne wyniki w wejściu na Wildspitze (3774 m) i na Watzenspitz (3583 m). Tegoroczny sezon zimowy pięknie rozpoczęły przejściami zach. ściany Niżnich Rysów przerywa tragiczna śmierć w czasie zejścia, po wejściu na Mięguszowiecką Przełęcz Wyżnią od pn. i Mięguszowiecki Szczyt.

Z takim zapałem jak uprawiał taternictwo, oddawał się również pracy

organizacyjnej w Zarządzie Sekcji Alpinizmu, a ostatnio Koła Wysokogórskiego K. W. w Gliwicach. W 1954 roku był prezesem Sekcji Szczególnie jednak dużo pracy wkładał w szkolenie młodych adeptów taternictwa.

Urodził się w Kętach, 9 listopada 1931 roku i tam spędził dzieciństwo i częściowo lata szkolne, później przeniósł się do Gliwic, gdzie ukończył szkołę średnią i studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Śląskiej. Po ich ukończeniu pracował w Biurze Projektów Urządzeń Przemysłu Hutniczego, jako starszy projektant zyskując w pracy zawodowej uznanie i opinię zdolnego inżyniera.

Wśród grona taterników śląskich pozostawił po sobie pamięć lubianego i cenionego kolegi.

H. C.

TADEUSZ KOREK

(13. 8. 1930 — 28. 3. 1957)

Wiosną, 1953 roku, zjawił się w Skałkach Podkrakowskich, by „wyuczyć się taternictwa”. Tatrzy Polskie znał wówczas niemal całe z licznymi wędrowek — pociągały go coraz mocniej. Teraz chciał zostać wspinaczem — od początku odznaczał się dużym talentem wspinaczkowym, chociaż na zdobywanie potrzebnego do-

świadczenia i pełnej samodzielności potrzebował jeszcze paru sezonów.

Taternictwo uprawiał z wielką pasją i zamiłowaniem, z każdym sezonem osiągając coraz lepsze wyniki: w 1953 r. przechodzi grań Morskiego Oka, wchodzi na Mięguszowiecki Szczyt wsch. ścianą, na Małą Rogatą Szczerbinę pn. - wsch. żlebem; w 1954

na Niżnie Rysy grzędą Tomkowych Igieł, na Wołową Turnię lewą częścią pn. ściany; w roku 1955 — na Wołową Turnię środkową pn. ściany, na Mięguszowiecki Szczyt Pośredni pn. ścianą drogą Orłowskiego.

Taternictwo zimowy rozpoczął znacznie później i dopiero zimą 1957 roku, gorąco przez niego oczekiwana, miała być jego pierwszym wielkim sezonem zimowym. Rozpoczął go naprawdę pięknie,



przejściem zach. ściany Niżnich Rysów, potem przyszła kolej na pn. ścianę — Mięgoszowieckiego Szczytu. Tragiczna śmierć w czasie zejścia z Hińczowej Przełęczy po zdobyciu od pn. Mięgoszowieckiej Przełęczy Wyżniej, położyła kres wielkim projektom i marzeniom.

Był bardzo towarzyski, na ogół zawsze pogodny, pełen humoru — cieszył się dużą sympatią wśród kolegów. Brał czynny udział w życiu organizacyjnym Klubu przez dłuższy okres prowadząc Referat Sprzętowy oraz pracując w Zarządzie.

Będąc taternikiem, pozostał jednak nadal turystą — przede wszystkim turystą górskim z zamiłowaniem poznającym teren swych wędrówek. Najwidoczniej lubił wprowadzać innych w turystykę, odkrywać przed nimi nieznanym im dotąd świat gór, skoro od lat zaangażował się w przewodnictwo tatrańskie — był członkiem Koła Przewodników Tatrańskich w Krakowie.

Tak jak interesowały go mocno góry, musiała

interesować go również praca naukowa, kiedy tak znaczne poczynił w niej już postępy. Urodzony 13. 8. 1930 r. w Zagórzcu (pow. Będzin) skończył szkołę średnią w Sosnowcu, a następnie studia na Wydziale Mechanizacji Górnictwa i Hutnictwa na Akademii Górniczo - Hutniczej uzyskując dyplom magistra inżyniera w 1955 r. Już w czasie studiów, będąc jednym z najzdolniejszych studentów na Wydziale, interesował się najbardziej zagadnieniami teoretycznymi z zakresu matematyki, mechaniki teoretycznej i wytrzymałości materiałów, to też mając szczególne zamiłowanie w kierunku pracy naukowej, bierze czynny udział w pracach studenckiego Koła Naukowego przy Katedrze Wytrzymałości, a następnie, już na studium magisterskim obejmuje stanowisko asystenta, później starszego asystenta w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki przy PAN. Rozpoczyna wtedy pracę nad zagadnieniami statyczności i drgań płyt oraz powłok. W październiku 1956 r. zostaje aspirantem PAN, miał to być dalszy krok ku karierze naukowej.

A. W.

THOMAS DUNCAN BOURDILLON (1924 — 1956 r.). 29. lipca 1956 r. na wsch. ścianie Jägihornu (w grupie Bietschhornu w Alpach) zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach dwójka alpinistów angielskich: Thomas D. Bourdillon i Richard M. Viney.

Thomas Bourdillon, urodzony w 1924 roku, należał do najwybitniejszych alpinistów i himalaistów ostatniej doby. Bezpośrednio w okresie powojennym, jeszcze jako student, był najaktywniejszym alpinistą angielskim przechodząc szereg bardzo po-

ważnych dróg alpejskich, przeważnie skalnych (m. in. I angielskie przejście pn. ściany Petit Dru). Pomimo potężnej budowy, wzrostu i wagi był doskonałym wspinaczem. W konserwatywnym alpinizmie brytyjskim był propagatorem i prekursorem stosowania najnowszych metod techniki wspinaczkowej dokonując szeregu pierwszych wejść znanymi z trudności ścianami gór walijskich (Clogwyn-Du-r-Arddu i in.). Ukończywszy studia fizyczne w Oxfordzie pracował w Ministerstwie Zapaatrzania w dziale badań rakietowych. Obok tego wraz z ojcem swym, znanym naukowcem dr R. B. Bourdillonem oraz fizjologiem i alpinistą dr Griffithem Pugh prowadził badania nad wysokogórskimi aparatami tlenowymi, w rezultacie których skonstruowany został nowy ekonomiczny w działaniu typ aparatu o zamkniętym obwodzie. Zaproszony przez E. Shiptona brał udział w wyprawie rekonasansowej na Everest w 1951 r., uwieńczoną odkryciem południowej drogi z Dol. Khumbu przez Western Cwm, którą od tego czasu szły wszystkie wyprawy na szczyt świata. W roku następnym brał udział w wyprawie na Cho Oyu, zaś w 1953 roku był uczestnikiem zwycięskiej wyprawy everestowskiej J. Hunta, w czasie której przeprowadził wraz z dr Ch. Evansem pierwszy, bardzo zaawansowany atak szczytowy osiągając przy użyciu aparatów tlenowych o zamkniętym obwodzie z Przełęczy Południowej w ciągu jednego dnia pd. wierzchołek Everestu. Po tej wyprawie nie brał już udziału w innych ekspedycjach himalajskich, natomiast regularnie odwiedzał Alpy, w szczególności masyw Mt Blanc.

Bourdillon był człowiekiem bardzo skromnym, nawet niesmiałym, o dużym wdzięku osobistym i humorze, łagodnego i pogodnego usposobienia, co w połączeniu z walorami alpinistycznymi czyniło go idealnym towarzyszem wypraw górskich. Pozostawił żonę, również znaną alpinistkę oraz dwoje małych dzieci: córeczkę i synka.

R. W. Schramm

Akcja i śmierć na MONT BLANC

Na Mont Blanc zginęło dwu ludzi. I natychmiast rozkrzyżowała się prasa, wylikano i wyolbrzymiano popelnione błędy, usiłowano ferować wyroki na przygodnych towarzyszy ofiar, na uczestników i kierownictwo akcji ratunkowej. Dla prasy tragedia ta stała się SENSACJA.

Zapomniano przy tym o drobnostce — o człowieku. Zapomniano, że współczesny wielki alpinizm ex definitione wymaga od człowieka pełnego wysiłku. I to wysiłku raczej psychicznego niż fizycznego.

Jeżeli zatem alpinizm jest grą, toczącą się na ostrzu „być albo nie być”, w której o sukcesie czy klęsce decydują drobniutki, niedostrzegalne w innych okolicznościach życia — to w rachubę musi być wciągnięty BŁĄD. Alpinista, który jest tylko omylnym człowiekiem, popełnia w swej działalności szereg błędów. Od szczęścia czy — jak kto woli — od Opatrzności, zależą skutki. Czasem wielki błąd nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji. Na odwrót jednak — wypadek jest z reguły dowodem popelnienia błędu.

Ale na tym koniec. Jeżeli ktoś z nas zbłądził, staramy się z doświadczenia wyciągnąć naukę na przyszłość, ale nie obwiniamy CZŁOWIEKA. Tylko pod tym kątem widzenia ma sens rozpatrywanie akcji na Mt. Blanc.

Przebieg wypadków był według „Die Alpen“ 1957, nr 3, str. 53, następujący:

Noc z 24 na 25 grudnia 1956 — Dwie partie: Roger Vincendon z 24-letnim alpinistą belgijskim François Henry'ym oraz przewodnik włoski Achille Bonatti z turystą por. Gheser'em, spędzili noc w schronisku biwakowym na Col de la Fourche.

Vincendon, lat 27, syn lekarza paryskiego, uzyskał w 1956 r. dyplom aspiranta — przewodnika w Chamonix.

Dnia 25 grudnia. — Dwójka Vincendona wyruszyła na ostrożkę Brenva. Bonatti i Gheser zaatakowali Via della Pera, lecz z powodu niepewnej pogody wycofali się trawersem na ostrożkę, którą osiągnęli nieco powyżej stanowiska pierwszej partii. — O godz. 17 założono biwak w trudnych warunkach, przy czym Włosi znajdowali się około 40 m wyżej.

Dnia 26 grudnia. — Oba zespoły związały się razem i wyszły o godz. 15 na Col de la Brenva.

Wszystko przemawia za tym, że połączenie się obu dwójek było podyktowane raczej przez ostrożność, niż przez konieczność. Bonatti stwierdził w swej relacji, zamieszczonej w piśmie „Epoca“ z 13 stycznia 57, że Henry i Vincendon znajdowali się w zadowalającej formie, aczkolwiek ich tempo było nieco wolniejsze niż Włochów. Świa-

decjiwo to potwierdzają również alpinista lozański André Greux oraz Włoch Guido Tonella (Lo Scarpone 16 stycznia 1957). Bonatti zwraca ponadto uwagę, że ekwipunek przygodnych towarzyszy był lepszy niż jego własny. W szczególności mieli oni buty himalajskie.

Należy zatem uznać, że decyzja rozłączenia się, która zapadła w łatwym terenie na Col de la Brenva, była w pełni uzasadniona, tym bardziej, że nastąpiło pewne przejaśnienie.

Alpinści zastanawiali się jeszcze wspólnie czy należy schodzić bezpośrednio z przełęczy. Jednak duża ilość świeżego śniegu oraz odległość schroniska, skłoniły ich do skierowania się ku Vallotowi.

Włosi — idący szybciej — osiągnęli wkrótce wierzchołek Mt. Blanc. Ostatni raz widzieli Henry'ego około 150 m (w pionie) poniżej szczytu. W chwili potem burza rozpuściła się ponownie z niespolitykaną gwałtownością. Włosi z trudem dobiegli do Vallota.



PÓLNOCNE STOKI MONT BLANC — teren akcji.

Natomiast Vincendon zmuszony był zawrócić na bardziej osłoniętą od wiatru drogę przez Corridor, którą to możliwość brano już pod uwagę na Col de la Brenva. Niestety w zejściu zabłądził między szczelinami, do znawczy porażenia spojówek. Obaj alpinści zostali zmuszeni do drugiego biwaku.

Można przypuszczać, że gdyby Włosi nie byli się oddzielili, wszyscy znaleźliby się w tym samym trudnym położeniu.

Dnia 27 grudnia. — Z Chamonix spostrzeżono Henry'ego i Vincendon'a unieruchomionych na stokach Mt. Blanc. Rozważono sprawę pomocy.

Niestety przewodnicy francuscy nie są ubezpieczeni od wypadków, a ostanio były śmiertelne ofiary w czasie akcji ratunkowych. W związku z tym związek przewodników z Chamonix postanowił, że będzie podejmował wyprawy ratownicze dopiero po zagwarantowaniu członkom ekipy, ubezpieczenia. Smutne to, ale przy niesłychanym rozwydrzeniu „turystyki masowej“ i wielkiej ilości wypadków — można zrozumieć zobojętnienie przewodników w stosunku do ofiar wypadków w ogóle.

Ostatecznie akcji nie rozpoczęto.

Dnia 28. grudnia — drugi dzień alarmu — czwarty biwak Vincendon'a. Mimo wiatru 100 km na godz. wystano helikopter, który zrzucił ofiarom żywność i wskazówki co do drogi zejścia.

Dnia 29. grudnia — trzeci dzień alarmu — piąty biwak.

Unieruchomionych alpinistów zaopatrzone przy pomocy helikoptera w namiot, koce i kocher. Stan pogody nie został w sprawozdaniu podany.

Akcji bezpośredniej nie przedsięwzięto, wobec czego pani Terray ujęła inicjatywę w swoje ręce i wezwała męża, by przyjechał do Chamonix.

Dnia 30. grudnia — czwarty dzień alarmu — szósty biwak.

Terray zorganizował ekspedycję ochotniczą. Nie jest zupełnie jasne czy w skład tej ekipy wchodził wyłącznie amatorzy czy też brali w niej udział również przewodnicy. Terray napotkał na niewytłumaczone trudności transportowe i dopiero o godz. 15 otrzymał miejsca w kolejce. Sprawa ta była ostro krytykowana wśród alpinistów, a potwierdza istnienie wspomnianych oporów psychicznych u zawodowców. Pogoda.

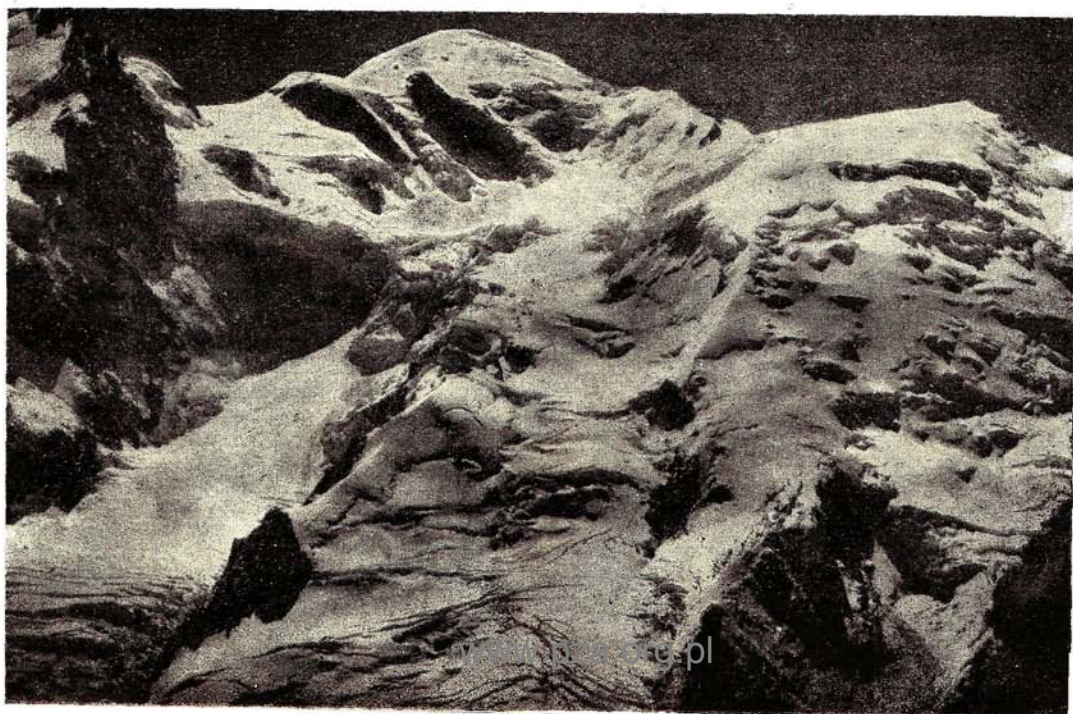
Dnia 31. grudnia — piąty dzień alarmu — siódmy biwak i pierwszy dzień szeroko zakrojonej akcji ratunkowej.

Grupa Terraya usiłowała dotrzeć do Grands Mulets.

Do poszkodowanych poleciały dwa ciężkie helikoptery typu „Sikorski S-58“. Jeden z nich, obsadzony przez oficerów-pilotów Santini'ego i Blanc'a oraz przewodników: Bonnet i Germain, rozbił się przy lądowaniu w sąsiedztwie biwaku alpinistów. Jeden z pilotów został ranny, obaj — nie posiadając odpowiedniego ekwipunku górskiego — znaleźli się w niebezpieczeństwie. Drugi aparat nie próbował lądować. Może to był błąd, ale decyzja załogi jest chyba zrozumiała.

Henry i Vincendon — a przynajmniej jeden z nich, byli w momencie kapotażu w dobrej formie, jeżeli można zaufać relacji dziennikarskiej. Pilot drugiego „Sikorskiego“ miał widzieć jednego z alpinistów biegnącego ku rozbitemu helikopterowi.

Dalsze zachowanie się załogi aparatu towarzyszącego jest jasnym dowodem błędnej łączności w akcji. Pilot chciał zawiadomić o kapotażu Terraya, ten jednak zrozumiał, że sygnalizują



mu śmierć alpinistów i rozpoczął odwrót. Dopiero spotkanie ochotniczych ratowników z Genewy (Grupa Androsace) wyjaśniło nieporozumienie. Terray zawrócił ponownie i obie ekipy kontynuowały marsz w górę.

W międzyczasie helikopter towarzyszący wysadził czterech przewodników pod Dôme du Goûter. Dwu z nich dotarło do Vallota, dwu pozostałych zeszło ku miejscu wypadku.

Postanowiono przy tym, że w pierwszym rzędzie należy ratować pilotów. Może to był błąd, ale nie pozabawiony logiki. Bonnet i Germain umieścili poszkodowanych alpinistów w kabine helikoptera S-58 i rozpoczęli transport pilotów do Vallota, w czym pomagali im przewodnicy schodzący z góry. Zadanie okazało się niełatwe. Pilot Blanc wpadł do szczeliny, skąd go wydobyto z wielkim trudem. Pomimo to on i jego przewodnicy dotarli na noc do schroniska Vallota. Natomiast pozostała grupa biwakowała bez sprzętu.

Dnia 1. stycznia 1957 — szósty dzień alarmu — ósmy biwak Henry'ego i 2 dzień akcji.

Niepogoda, świeży śnieg i niebezpieczeństwo lawin zmusiły grupę Terraya do odwrótu spod Grands Mulets.

Helikopterów w tym dniu nie wysłano.

Pilot Santini dotarł do Vallota.

Do Chamonix przybyły dalsze grupy ochotników ofiarowując pomoc. Odpowiedziano im (ze sprawozdania nie wynika kto), że zostaną użyci w razie potrzeby.

Dnia 2. stycznia — siódmy dzień alarmu — dziewiąty biwak ofiar i 3 dzień akcji.

Pogoda piękna. Akcji Vincendon — Henry nikt w tym dniu nie podejmował. Myślano tylko o ewakuacji schroniska Vallota. W tym celu zażądano helikopterów typu „Alouette”, które przybyły jednak dopiero o godz. 16.00 i — ze względu na ciemność — odłożyły lot do dnia następnego.

Dnia 3. stycznia — ósmy dzień alarmu — dziesiąty biwak pod Mt. Blanc i 4 dzień akcji.

Helikoptery ewakuowały grupę

ze schroniska Vallota. Szwajcarski specjalista alpejskich lotów ratowniczych, pilot Hermann Geiger, uzyskał pozwolenie na przekroczenie granicy i przybył do Francji na swojej maszynie. Władze francuskie nie zgodziły się jednak na podjęcie próby lądowania przy ofiarach. Ponadto nie zgłosił się żaden przewodnik do pomocy, której pilot potrzebuje po lądowaniu. Ochotników nie skontaktowano z Geigerem.

Wobec tego Szwajcar ograniczył się do kilkakrotnego okrążenia miejsca katastrofy na małej wysokości. Dla zwrócenia uwagi alpinistów, zamkniętych w kabine helikoptera S-58, Geiger krążył na pełnym gazie. Pomimo to poszkodowani nie dali żadnego znaku, z czego wywnioskowano, że już nie żyją.

Wniosek ten stoi w sprzeczności z późniejszymi, niesprawdzonymi doniesieniami prasy, jakoby ekspedycja, która zniosła zwłoki, stwierdziła, że jeden z alpinistów próbował ratować się sam (prawdopodobnie po śmierci towarzysza).

Na tym zakończył się dramat.

Warto jeszcze przytoczyć zdanie, jakie o całej sprawie opublikował Terray, poparty przez Armanda Charlet. Oskarżyli oni kolegów-przewodników, że nie mieli rzetelnej chęci ratowania zaginionych. Można rozumieć rozgoryczenie Terraya, który był w pierwszej linii, ale należy krytycznie zbadać wszystkie okoliczności sprawy.

Jak już poprzednio wspomniano, z relacji szwajcarskiej nie wynika jasno czy ochotnicza ekipa Terraya składała się wyłącznie z amatorów czy też miała w swym składzie również przewodników. Nie można więc sobie zdać sprawy czy oskarżenie Terraya dotyczy konkretnej postawy przewodników z jego grupy w czasie działania pod Grands Mulets (co należało by ocenić surowiej) czy też chodzi mu o całość akcji.

Jakież są zatem wnioski natury ogólnej?

Po pierwsze; należy stwierdzić rzecz dla nas oczywistą, że nie można mówić ani o „winie własnej” Vincendon i Henry'ego,

ani tym bardziej rzucać na Bonnetiego odpowiedzialności za nie-szczęście.

Po drugie; jasne jest, że całość akcji została przeprowadzona błędnie. Powtarzam jednak, że nie widzę podstaw do obwiniania żadnej jednostki.

Ratunek podjęto zatem w drugim dniu alarmu. Uderza jednak fakt, że bardzo późno wezwano Geigera (działało jednak wielu pilotów francuskich) oraz że akcję przerwano już po trzech dniach. Były jednak ku temu przesłanki: obserwacje Geigera oraz koszt działań ratunkowych. wynoszący... 3 miliony franków szwajcarskich! (Epoca loc. cit. c.).

Widać więc, że zrobiono wiele dla ratowania alpinistów. Akcja była niewątpliwie niedostatecznie skoordynowana, ale też jest ona zupełnym wyjątkiem w dziejach alpinizmu. Organizacja górskiej służby ratowniczej nie dorosła i nie przewidywała nawet podobnej sytuacji. Chociażby kwestia kierownictwa. Czy ma ono spoczywać w rękach organizacji przewodnickiej czy też wojska, dysponującego lotnictwem?

Są jednak dwa najważniejsze czynniki, które zdecydowały o niepowodzeniu całej wyprawy.

Po pierwsze — wspomniany opór psychiczny ratowników zawodowych, spowodowany ich niewyjaśnioną sytuacją socjalną (ubezpieczeniem).

Po drugie — kompleks zawodowy odpowiedzialności. Warunki atmosferyczne były okropne. Przewodnicy nie ryzykowali akcji ze względu na zbyt wielkie niebezpieczeństwo (odwrót Terraya i Androsace w dniu 1. stycznia potwierdził słuszność tej oceny). Jakże więc mogli zgodzić się na ponoszenie ryzyka przez dalsze grupy ratowników ochotniczych?

Ostatecznym wnioskiem, który trzeba wyciągnąć z tragedii na stokach Mont Blanc jest to, że pomimo całego postępu technicznego — alpinizm jest i pozostanie świadomym, samotnym zmaganiem człowieka z potęgą gór. I w tym tkwi cały jego sens.

Maciej Miśchke

LE CONTENU:

LA CHRONIQUE: contient l'avant-propos de la rédaction, les conditions d'admission d'un nouveau membre au Club Polonais de la Haute Montagne, un communiqué sur le camping dans le Parc National de la Haute Tatra et la création d'une école d'alpinisme à Zakopane.

FRONTISPIECE.
C'EST MAINTENANT QU'IL FAUT Y PENSER (par A. Wala). L'auteur indique l'actualité la nécessité d'une discussions idéologique comme moment pédagogique définissant la direction ultérieure du développement de l'alpinisme chez nous.

LIONEL TERRAY DE SON ASCENSION SUR LE FITZ ROY (par A. Skoczylas, traduit par l'abbé J. Rozwadowski). C'est une description du parcours de l'Expedition Française sur le Fitz Roy en 1951, faite par l'auteur, membre de la dite expedition, supplée par une introduction historique et un commentaire.

SUR CORNO GRANDE (par J. Rudniański). Reportage littéraire de la montée de l'auteur avec ses compagnons au sommet de Corno Grande dans les Apennines.

L'ALIMENTATION DANS L'ALPINISME (par L. Namysłowski) étudie sur les problèmes de l'alimentation dans l'alpinisme et ses bases physiologique, appuyée sur la récente littérature mondiale, supplée par

une documentation précieuse des plus grandes expéditions exotiques.

MERVELLES DE L'ELBE (par A. Wilczkowski). Ce sont les impressions personnelles du séjour de l'auteur dans les rocs de grès à l'Elbe (Laba) près de Dresde que les touristes polonais ont visité a plusieurs reprises en 1956.

LE BUCEGI ET L'ALPINISME ROUMAIN (par Arno Puscas). — L'auteur décrit le groupe des montagnes conglomérées Bucegi dans les Carpathes Moldaviennes du point de vue alpiniste et il donne plusieurs détails sur les coutumes et l'organisation des alpinistes roumains.

LE „TATERNISME“ ET L'ALPINISME (chronique) contient un rapport du séjour d'un groupe des alpinistes polonais en été 1956 dans les massifs de L'Ötztal (Autriche) sur l'invitation de l'organisation Freie Österreichische Jugend. Un des plus intéressants résultats a été la montée de la paroi du nord de Simlaun et de la paroi est de Wildspitze. — Il donne un rapport sur l'expédition des Polonais de l'Argentine en janvier 1956 au Cordon de la Jaula aux Andes, couronnée des premières ascensions sur 5 sommets d'une hauteur de 5000—5400 m, non conquis jusqu'à présent. — Il s'y trouve aussi brièvement décrite l'expédition des alpinistes soviétiques et ceux de la Chine Populaire sur le

Mustag-Ata. Cette expedition a conquis en plus le sommet Kongur (Congour) (7595 m); l'expédition internationale dans les Andes en 1956 et l'action des Autrichiens dans les montagnes de l'Asie Mineure.

LE „TATERNISME“ SOUTERRAIN (chronique) donne une large relation sur les séjours des spéléologues polonais en Bulgarie en 1956, ou on a visité et exploré plusieurs grottes sur le territoire du Balkan Central et du Piryn (Pirine).

COMPTE-RENDUS — (par R. Schramm). Rapport critique du nouveau guide monographique alpiniste de la Haute Tatra polonaise rédigé par W. H. Paryski, faisant partie du guide pour toute la Haute Tatra.

CHRONIQUE DE DEUIL donne des notices biographiques de J. Bilczewski et T. Korek qui ont péri dans la Tatra en hiver 1957 et des notices sur la mort de quelques alpinistes connus de l'étranger.

ACCIDENTS ET SAUVETAGE DANS LES MONTAGNES contient une relation détaillée de la tragédie sur le Mont Blanc en decembre 1956.

CONSPECTUS.
La publication périodique „Taternik“ est envoyée en échange des éditions alpinistes et géographiques. L'adresse de la Rédaction: Antoni Wala, Kraków, ul. Osiedle 15 Grudnia 11, m. 12.

CONTENTS:

CHRONICLE: The editor's foreword, terms of admission to the Polish Mountaineering Club, information about camping in the Tatra National Park and about the new School of Alpinism in Zakopane.

FRONTISPIECE.
THIS IS THE TIME TO THINK ABOUT IT (by A. Wala). The author draws attention to the present need of ideological discussion on alpinism as an educational agent and on the direction in which polish alpinism should now develop.

LIONEL TERRAY ABOUT HIS ASCENT OF THE FITZ ROY (review by A. Skoczylas, translation by the Rev. J. Rozwadowski). The reviewer added an historical introduction and a commentary to the account of the french expedition to the Fitz Roy in 1951, given by Terray, who participated in the conquest of this peak.

ON THE CORNO GRANDE (by J. Rudniański). A literary description

of the ascent of the Corno Grande in the Apennines, achieved by the author and his companions.

FOOD PROBLEMS IN ALPINISM (by L. Namysłowski). The author has studied the problem of food and its physiological foundation in the newest world literature and forms his own opinions on the subject adding valuable documentary data obtained from the reports of recent important exotic expeditions.

WONDERS ON THE ELBE (by A. Wilczkowski). An account of the author's personal impressions of the sandstone rocks by the river Elbe near Dresden, visited by polish climbers, several times on tour during 1956. The methods of the local climbers drew the author's attention and he discusses them at some length in his article.

ABOUT BUCEGI AND ROUMANIAN ALPINISM (by Arno Puscas). The author describes the coglome-

rate mountain group of Bucegi in the Moldavian Carpathians from an alpinist's point of view and adds many details about the organization and the customs of roumanian alpinist's.

POLISH HIGH MOUNTAIN CLIMBING AND ALPINISM (chronicle). The account of a group of polish alpinists' sojourn in the Ötztal Alps (Austria) in summer 1956. They were guests of the Freie Österreichische Jugend. One of their interesting achievements was the ascent of the Simlaun by it's northern face, another of the Wildspitze by it's eastern face. Information about an expedition of Poles from the Argentine to the Andes (Cordon de la Jaula group); they achieved five first ascents of hitherto unconquered peaks (5000—5400 m). Particulars about an expedition of Russian and Chinese alpinists to the Muztag Ata, which also conquered the lower peak of the Kongur (7595 m.). Short accounts of the

International expedition to the Andes, led by Lionel Terray in 1956 and of the Austrians achievements in the Asia Minor mountains.

UNDERGROUND ALPINISM. The chronicle reports extensively about the trip a group of Polish speleologists made in 1956 to Bulgaria, where they visited and investigated a number of caves in the central Balcan area and in the Pirine.

REVIEWS. R. Schramm discusses the recently published alpinist guide of the Polish High Tatra, by W. H. Paryski. This monography is part of a guide covering the High Tatra as a whole.

OBITUARY. Biographical notes about J. Bilczewski and T. Korek perished in the Tatra in winter 1957. Notes about several well known foreign alpinists.

ACCIDENTS AND SALVAGE. An extensive discussion of the Mont Blanc tragedy of December 1956.

SUMMARY.

Editors' address: Antoni Wala, Kraków, ul. Osiedle 15 Grudnia 11 m. 13, Poland.

The review *Taternik* will be readily exchanged for alpinist and geographical magazines.

FITZ ROY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 14

nim rozpęta się burza. Ale Guido nie chce się poddać tak blisko celu: „Pozwól mi jeszcze dwie godziny!“. „A zatem dobrze, dwie godziny, ale ani jednej minuty więcej!“. Jak zelektryzowany rusza Guido naprzód, pokonuje liczne, małe przewieszki i półki lodowe, nie bijąc ani jednego haka. Jako drugi na linie z trudem nadążam za nim i mimowoli myślę: „On jest jak Lachenal w swoich wielkich chwilach!“. Obchodzimy występ skalny, który zaskania prawą stroną muru. Powyżej 10 metrowej przewieszki jest mniej stromo i łatwiej. Budzi się we mnie na nowo nadzieja i dodaje świeżych sił. Zapomina się, że grozi burza śnieżna, że prawie od czterdziestu godzin niewiele jedliśmy i pili. Nagle Guido woła: „Do licha! Nie można wbić żadnego haka. Rysa jest za wąska!“. Przychodzi mi na myśl, że mam w plecaku jeszcze trzy bardzo płaskie i zaledwie 3 cm długie haki. Posyłam je na górę do Guida i oczekuję w najwyższym napięciu. Wreszcie z ulgą słyszę jego wesołe: „Ten się nadaje!“.

Ostatnia przewieszka i o godz. 16.00 wychodzimy już w gęstej mgle na grań szczytową. Jeszcze 40 min. w wyścigowym tempie po łatwej skale i padamy sobie w ramiona na szczycie. Bitwa wygrana! Czuję jak w tym momencie dopełnia się jedna z najbardziej dramatycznych stron mojej

księgi żywota. W kilku minutach dokonujemy tego, co się robi na niezdożytym dotychczas szczycie; potem pospiesznie uciekamy na dół.

Zła pogoda rozpętała się i zaczyna padać śnieg. Jednak — szczęście nie do wiary — morderczy wiatr zwleka jeszcze. Dzięki naszej dobrej współpracy i technice zjazdy następują w szybkim tempie; za piętnastym zjazdem osiągamy już stałe liny. Teraz już żadna burza śnieżna nie może nam nic zrobić. Późno w noc, przemoczeni do nitki, wczłogujemy się do jamy, gdzie nas przyjmują towarzysze z objawami dzikiej radości.

Nawrót złej pogody i wyczerpanie po trzech ciężkich tygodniach uniemożliwiły powtórne wyjście na Fitz Roy. Również i pora roku była już zbyt późna. Wskutek tego opuściliśmy Patagonię i udaliśmy się w Andy Centralne — ku Aconcagua — gdzie lato trwa trochę dłużej!.

Tak zakończyła się tyloletnia epopeja zdobywania Fitz Roy — szczytu na krańcu świata. Wieść o tym zdarzeniu szerokim rozeszła się echem po świecie, budząc ogólne zainteresowanie. Jest to w pełni zrozumiałe w świetle tego, co napisał Terray na zakończenie swego artykułu: „Zdobycie Fitz Roy nie przedstawia jakiegokolwiek nowego fazy w historii alpinizmu. Mimo to Fitz Roy jest, moim skromnym zdaniem, obecnie najtrudniejszym problemem wspinaczekowym w górach świata, jaki dotychczas został zwycięsko rozwiązany“.

WSKAZÓWKI DLA AUTORÓW: Artykuły do zeszytów „*Taternika*“ należy nadsyłać w 2 egzemplarzach maszynopisu, na arkuszach formatu A4, jednostronnie pisane, z odstępem między wierszami i z marginesem 4 cm z lewej strony. Fotografie dołączone do pracy jak i składane do depozytu do wykorzystania przez Redakcję, winny być wykonane na papierze białym, najlepiej w formacie 13 × 18 lub 18 × 24. Rysunki wykonane na kalce tuszem. Rękopisów i fotografów nie zamówionych Redakcja nie zwraca.



Z Łagocki

Cena zł. 10.-

WŁOSI

Claudio Corti
i Stefano Longhi

oraz

NIEMCY

Günther Nothdurft
i Franz Maier

tworzyli dwa
samodzielne zespoły,

które weszły
w północną ścianę

ELGERU

z zachowaniem różnicy
jednego dnia.

Dziewiątego dnia

o godz. 11.30

zdjęto z pleców
omdlewającego ze zmęczenia

Hellsparda

CORTIEGO

Był jedynym,

którego uratowano

ze ściany

•

Z pewnością nasuwa

Ci się Czytelniku

pytanie:

Czy istniała

SZANSA URATOWANIA

zarówno obu Niemców

jak i Włochów ?

ODPOWIEDŹ

znajdziesz

w następnym numerze
gdzie również przeczytasz:

o zdobyciu

PIK POBIEDY

wrażenia Rebuffat

z przejścia

CIMA GRANDE

DI LAVAREDO

o sukcesie

polskich grotolazów

w

DENT DE CROLLES

WYDAWNICTWO
SPORT I TURYSTYKA

www.pza.org.pl